AS

Nr. 23

CZERWCA 1937 R.

CENA 40 GROSZY



TRZY GRACJE

Fot. IMRE VON SANTHO

Rozstrzygnięcie

KONKURSU »ASA«

na

NAJPIĘKNIEJ ZASTAWIONY STÓŁ WIELKANOCNY











Na lewo (1): I nagroda Zastawa szklana „Baccara" marki Zawiercie, ofiarowana przez firmę Jakób Gross Kraków, Rynek 8 i 30, skład porcelany. — *Bliżej:* Stół wielkanocny Związku Pań Domu w Katowicach.



Na lewo (2): II nagroda: Skórzana torebka damska, ofiarowana przez firmę Anastazy Froncz, Kraków, Floriańska 17. — *Bliżej:* Stół wielkanocny pp. Nostitz-Jackowskich w Lesznie.



Na lewo (3): III nagroda: Żelazko gazowe, ofiarowane przez Gazownię Miejską w Krakowie. — *Bliżej:* Stół wielkanocny p. L. z Pabjanic.



Na lewo (4): IV nagroda: Kilogramowa flaszka wody kwiatowej „Namiko" i flaszka wody kwiatowej „Habanita" marki Molinard, Paryż, ofiarowane przez firmę K. & A. Miklaszewski, Kraków. — *Bliżej:* Stół i stolik wielkanocny pp. H. i J. W. z Przemyśla.

Z pośród 50-ciu zdjęć stołów wielkanocnych naszych Czytelniczek i Czytelników, nadesłanych na konkurs wielkanocny „Asa" — jury konkursowe wybrało cztery, nagradzając je w następującej kolejności:

I nagroda: Święcone Związku Pań Domu w Katowicach (nr. 17 „Asa"). — **II nagroda:** Stół wielkanocny pp. Nostitz-Jackowskich w Lesznie (nr. 16 „Asa". — **III nagroda:** Stół wielkanocny p. L. z Pabjanic (nr. 15 „Asa"). — **IV nagroda:** Stół i stolik wielkanocny matki i córki pp. H. i J. W. z Przemyśla (nr. 20 „Asa").

Ponadto **wyróżniono 6 innych zdjęć**, którym jury przyznało **bezpłatnie kwartalne prenumeraty tygodnika „As"**. Fotografje wyróżnionych stołów wraz z podpisami zamieścimy w nast. numerze.

LUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 23 **Niedziela 6 czerwca 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 23-GO:



Presse-Photo — Berlin.

Marsylja — to jeden z największych portów europejskich i wielkie „okno" Francji na morze Śródziemne. Poza samymi rodowitymi Marsylczykami, których znamy z licznych anegdot i opisów, miasto zamieszkują reprezentanci niezliczonych narodowości, tworząc barwny i urozmaicony tłum portowy. Olbrzymi ruch w porcie, typowo południowa niefrasobliwość mieszkańców, oryginalne nocne życie — wszystko to nadaje wielkiemu miastu cechy nader ciekawe. Nasze zdjęcie przedstawia Marsylję, widzianą z jednego z drapaczy chmur, spotykanych nierzadko w tem mieście.

Pani podróżuje samochodem...



W drodze do Marakeszu...

W ostatnich latach automobilzm przestał być wyłączną domeną sportową mężczyzn i coraz częściej widuje się przy kierownicach sportowych i turystycznych samochodów eleganckie panie.

Wystarczy krótki spacer po ulicach zachodnich stolic, jak Paryża i Londynu czy Berlina do stwierdzenia tego faktu. Przebywając przed kilku miesiącami w Berlinie miałem możność dokonania na ten temat kilku interesujących obserwacyj. Zauważyłem np., że na Kurfürstendamm ruch samochodowy przybiera rozmaite wyrazy zależnie od pory dnia. Do godziny 10-tej przedpołudniem przytłaczający procent kierowców samochodowych to mężczyźni. Kupcy, adwokaci, lekarz, urzędnicy, przemysłowcy itd., mieszkający za miastem w dzielnicach willowych spieszą swemi samochodami do swych kancelaryj.

Po godzinie 10-tej obraz ten ulega radykalnej zmianie. Coraz mniej widać ciemnych limuzyn „panów stworzenia" a zato pojawia się na szerokiej jezdni wiele lekkich maszyn sportowych — niejednokrotnie istnych cacek najbardziej luksusowo wykonanych. Są to samochody pięknych sportsmenek, które wyjeżdżają na ranne sprawunki — do modniarki, na pokaz mód do wielkich magazynów, czy też na partję tenisu czy golfa do klubu za miasto.

Sport automobilowy daje pięknej pani wiele emocji i wiele sposobności do popisu w dziedzinie mody. Istnieje wielka mnogość najrozmait-





Po zwiedzeniu zabytków austrjackiego zamku.

Na prawo: W porcie sycylijskim.



Postój w południowo-niemieckiem miasteczku.

szych typów kostjumów automobilowych, a pomysłowość wytwornej sportsmenki znajduje tu szerokie pole do popisu.

W Europie na torach wyścigowych spotyka się zawodniczki jedynie wyjątkowo. — Piękne panie biorą natomiast liczny udział w rajdach, zdobywając niejednokrotnie nagrody. Cóż dziwnego, odkąd mamy znakomite lotniczki, które dokonywują rekordowych wyczynów — nie imponuje już nam pani-zawodnik w rajdzie automobilowym.

Sport samochodowy do niedawna był dostępny wyłącznie nie tylko dla pięknych, ale przedewszystkiem b. zamożnych pań.

Obecnie postępująca popularyzacja automobilizmu i u nas w Polsce tak pod tym względem zacofanej — daje się już zauważyć, a zniżka cen samochodów udostępni dla wielu naszych pięknych pań ten jedyny w swym rodzaju sport.

Samochód daje możność nietylko zareprezentowania sportowych kostjumów, lecz również uprawiania turystyki.

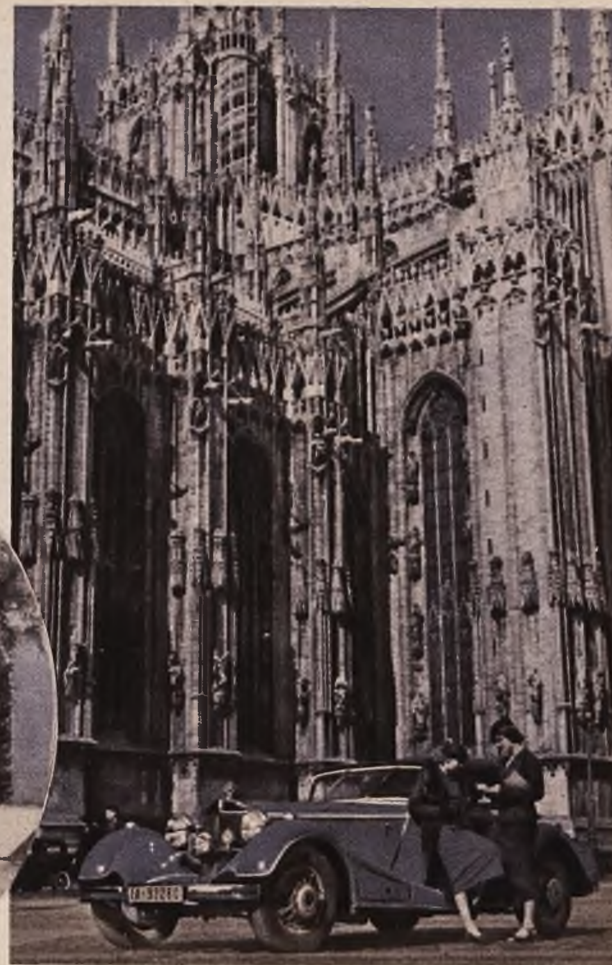
Na rynku znajduje się coraz więcej wozów sportowych, przystosowanych do dalszych podróży. Oczywiście samchód jako środek lokomocji turystycznej góruje pod wieloma względami nad koleją. Pozwala nam bowiem wybrać dowolnie trasę, zatrzymywać się w upatrzonych miejscowościach i swobodnie rozkoszować się pięknem mijanych krajobrazów. Jadąc samochodem, zwiedzamy dany kraj, — podróżując koleją, przejeżdżamy tylko przez niego.

Lecz może jeszcze ważniejszem jest, że posiadając samochód, możemy w każdy piękny wieczór po dniu spędzonym w dusznem biurze, wyjechać choćby na godzin lub dwie za miasto.

Dzięki automobilizmowi, na zachodzie w sobotę wyludniają się całe miasta. Wszyscy wyjeżdżają na niedzielę w góry czy nad morze, aby odetchnąć innem powietrzem i oczy ucieszyć zielenią. Dla automobilisty spędzanie t. zw. „końcówki" za miastem staje się nałogiem — jakże pięknym i zdrowym.



W kole: Pod lazurowem niebem Riwiery...



Powyżej: W cieniu katedry medjolańskiej.



Na prawo: Czy pogoda dopisze?



Na prawo: Podwieczorek w lesie.

BABSKI CZĄMBER

W ramach „Dni Krakowa" odbędzie się w dniu 6. VI. br. uroczyste otwarcie kiermaszu — obrzędowem widowiskiem „Babski częmber" H. Wielowieyskiej.

Niewiele obrzędów miejskich zamierzchłych czasów dotrwało do dnia dzisiejszego. Kraków, ta skarbnica najstarszych tradycyj polskich, zdołał ocalić niejeden obrządek i obyczaj jak Lajkonika, Wianki, Emaus, Rękawka, Hejnał Marjacki i kilka innych pomniejszych, ale w ostatnich stu latach zaginęły tu liczne widowiskowe tradycje. Do takich obrzędów należy „Babski czamber". Obrzęd ten datuje się od niepamiętnych, pogańskich jeszcze czasów, spotykamy go zarówno w zachodnich połaciach Polski jak



Klocek mięsopustny, zwany też Alfeuszem.

i na Łużycach. Świadczy on o dawnej jedności kulturalnej tych ziem słowiańskich. — Pierwszą historyczną wzmiankę o tym obrzędzie mamy z r. 1600 w dziele anonimowem „Gregorjanki", zwanem przez niektórych, słusznie „biblją żakowską", gdyż zawiera ona wszystkie możliwe szczegóły obyczajowe, łączące się z życiem owoczesnej młodzieży uniwersyteckiej. Za czasów pogańskich był przypuszczalnie obrządek babskiego cząmbra obrządkiem inicjacji młodzieńców w okresie dojrzewania przez Baby (wróżki, czarownice, później wogóle dojrzałe i posiadające już dzieci, kobiety). W mieście obrządek ten podlega coraz dalszej ewolucji, funkcje „Bab" przejęły przekupki, będące jakby odpowiednikiem tej dawnej słowiańskiej nazwy. Przekupki znajdowały owych bezżennych młodzieńców, przedewszystkiem wśród młodocianych żaków, których łapały i tak długo dręczyły, dopóki w ten lub owy sposób żak się nie wykupił. Ze śpiewem i tańcami wiodły najprzód swój korowód na rynek, gdzie przed kamienicą rycerską toczyły swoje „babie koło", nucąc pieśni cząmbrowe. Ochoty dodawało im piwo, miód a czasem i wino, hojnie szynkowane. Zasłynęła szczególnie z pośród nich „Maryna", która 5-krotnie „orszak cząmbrowy" wiodła i bardzo zmyślne piosenki układała. Była ona kierowniczką czyli marszałkową całego cząmbra.

W myśl piosenki:

„...Nasza Pani marszałkowa
Uchwyciła młodzieńca



Drzewko cząmbrowe.
Wszystkie ryc. Maryla Ossowska.

Acha! acha! acha! acha!
Jakże wielka pociecha.
Miał mieć w łóżku Kordyjały
Wyśmienite specjały.
Pewnie się piekielnie sparzył
Skoro tylko duszkiem zarzył.
Acha! Acha! Acha! Acha!
Jakże wielka pociecha".

Łapały młodzieńca-żaka, wiązały mu na plecach „klocek" bardzo cudaczny, zwany niekiedy Alfeuszem, który miał ręce tam gdzie nogi, a nogi tam gdzie ręce, „rak nie rak straszny cudak wilkołak". Oprócz tego wkładały mu grochowy wianek na głowę i toczyły w krąg taniec wśród nieustannej pieśni. Wreszcie następował okres wyzwolenia, żak tłumaczył się, że nie ma groszy, zamiast okupić się częstokroć sam od przekupek podarunek otrzymywał.

W miarę upadku Akademji Jagiellońskiej, zwyczaj ten pospolitował się i oddzielał od życia uniwersyteckiego. Z początkiem XIX wieku, był on już w zupełnym upadku, zmieniając się w dość trywjalną zabawę przekupek i najuboższych warstw społeczeństwa. Pochód cząmbrowy ciągnął z przedmieścia Piaski przez dzisiejszą ulicę Karmelicką, ku placowi Szczepańskiemu, gdzie odbywała się właściwa cząmbrowa zabawa. Pospólstwo było przeważnie już na początku obrzędu mocno pijane, stąd trywjalny owoczesny charakter całości. Jednocześnie legenda cząmbrowa podlegała deformacji. Chciano wytłumaczyć historycznie ten obrządek i stworzono fikcję, jakoby istniał bardzo zły burmistrz Cząmber, po którego śmierci nastąpiła radość ogólna. Przemieniła się ona w dorocznie obchodzoną zabawę. Cała ta legenda nie zawiera w sobie ani krzty prawdy.

Od właściwego natomiast starego obrzędu powstało cały szereg słów i zwrotów, jak „cąmbrzyć kogoś za włosy" czyli targać albo „cąmpać", chodzić wolno z miejsca na miejsce. Baby bowiem targały delikwentów za włosy i szły wolnym pochodem z miejsca na miejsce, znajdując ciągle nowe ofiary. Do tej chwili żyją szczątki tego obrzędu w Poznańskiem i Radomskiem, a na Śląsku nazywają cząmbrem zabawę, na której tańczy się przedewszystkiem tańce swojskie.

Pod wpływem zdaje się kościoła katolickiego obrządek ten o cechach raczej odnoszących się do przesilania okresu wiosny z okresem letnim, został cofnięty na ostatni dzień mięsopustu i nazwany również„ maszkarą mięsopustną". Kłodę związaną na plecach żaka ochrzczono nawet „kłodą popielcową". Obrządek kłody czyli klicka oddzielił się zczasem od obrzędu cząmbra i stworzył samoistny, ale już mniej ciekawy obyczaj.

Obecnie teatr akademicki postanowił obrządek ten wskrzesić w dawnej świetności, łagodząc jednak jego zbyt szorstkie rysy i wplótł go w fabułę, osnutą na tle życia naszej Almae Matris w XVI wieku. O ile Otrzęsiny są jednak pochodzenia obcego, zachodniego, a do



Przekupka Maryna, marszałkowa cząmbra.

nas dostały się przez Niemcy i nigdy zbytnio się nie rozpowszechniły, o tyle cząmber jest obrzędem rdzennie słowiańskim, a symbolizuje współżycie miasta z młodzieżą naszej uczelni.

Z obrzędem tym łączyły się też liczne cechy, które już trudno zrekonstruować. Baby po dokonanem okupieniu się — młodzieńcowi, a czasem i dojrzałemu mężczyźnie wkładały na szyję jakby różańce z grzybów, rzepy lub innych płodów ziemi i mamrocząc niby modlitwę, prosiły zkolei o datek, wygłaszając jednocześnie sakramentalne formułki: „Doczekanie twoje, że będziesz tak biedny jak ja i będziesz włóczył się po świecie jak ja i tak ci się będzie wieść jak mnie". Niekiedy znów rzucały przekleństwa na tych, którzy nie chcieli się okupić.

W innych okolicach przebierały się za „dziadów" (mężczyzn), brały bat ze słomy w ręce i biły nim każdą spotkaną młodą mężatkę, mówiąc: „Pójdźcie na cząmber, żebyście nie śmierdziały kozami, żebyście się okupili". Po wsiach taki pochód cząmbrowy ciągnął jak kolędnicy od chałupy do chałupy i stał w pewnym związku z istniejącym do tej chwili na Podlasiu „włóczebnem".

Autorzy polskiego renesansu przejęci duchem ortodoksyjnego katolicyzmu, widzieli w tym obrzędzie działanie czarownic i djabłów, które opętały młodzieńca. Tak opisuje ten obrzęd w dramacie „Hymeneusz Czarodziejski" z roku 1618 Wieniewski (Wieniwski). **Dr Władysław J. Dobrowolski.**

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Znaczki poczty miejskiej w Żarkach z r. 1918.

W czasie jednego z ostatnich posiedzeń Krakowskiego Związku Filatelistów udało nam się przeprowadzić wywiad z profesorem Miksteinem, jednym z najwybitniejszych filatelistów polskich.

Dotychczas tylko znaczki poczty miejskiej w Żarkach nie były fachowo opracowane, gdyż niewiadomo było nawet, czy istnieją pełne arkusze, a z pojedyńczych sztuk lub nawet czworobloków nie można dojść do „sedna prawdy". Falsyfikaty pojawiły się bowiem już wiele lat temu, a ponieważ przeciętny zbieracz łakomi się na to, co tanie, bo — „a nuż to jest prawdziwa serja" — więc w zalewie znaczków podrobionych było bardzo trudno zorjentować się.

— Jak długo Pan Profesor opracowywał wydanie znaczków Żarek? — pytamy się naszego rozmówcy.

— Mniejwięcej w połowie lutego udało mi się wreszcie otrzymać szereg arkuszy tego dotąd „tajemniczego" wydania, i wtedy dopiero mogłem rozpocząć pracę. W ciągu dwóch miesięcy zbadałem wszystkie szczegóły tak, że obecnie jestem w stanie powiedzieć, które miejsce dany znaczek zajmuje na jednym z 50 pól arkusza. Dłuższy referat napisany po ukończeniu pracy opublikuję niebawem w naszem fachowem piśmie „Ikaros", ale w każdym razie cieszę się, że i za pośrednictwem „Asa" będę mógł niejeden szczegół wyjaśnić.

— Bardzo ważnem jest dla nas przedewszystkiem to, jak można odróżnić znaczki prawdziwe od fałszywych? — rzucam następne pytanie.

— Naogół nie jest to trudne — odpowiada profesor Mikstein — w Żarkach wydano znaczki litografją, a fałszowano je drukiem czcionkowym. Już na pierwszy rzut oka, mając obok siebie prawdziwą i podrobioną sztukę, można ocenić jak starannie wykonane są oryginały. Jeśli rozchodzi się o stemplowane znaczki, to prawdziwe posiadają charakterystyczny szary kasownik, o grubym otoku zewnętrznym i tylko ten jeden był rzeczywiście w użyciu. Naturalnie, że mamy tu do czynienia tylko z fałszerstwami na szkodę zbieraczy, a nie na szkodę poczty, gdyż wydano wówczas aż dwa nakłady i przez tak krótki czas były te znaczki w obiegu (2 miesiące), że nie opłaciłoby się nikomu działać na szkodę poczty miejskiej.

— Czy istnieją błędy druku?

— Otóż nie! Przeważnie zdarza się, że znajdują się pewne niedokładności w wykonaniu, ale tutaj poszczególne pola w arkuszach wykazują tak małe różnice, że nie można mówić o błędach w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Przy znaczkach przedrukowanych, wobec zwyżki taryfy — także niema poważniejszych odchyleń, gdyż przedruk jest zupełnie prosty i tylko zmienia się jego położenie w stosunku do wysokości znaczka, zależnie naturalnie od włożenia arkusza do maszyny dokonywującej przedruku.

— Jak duży był nakład?

— Tego dokładnie nie wiem, w każdym razie niezbyt wielki.

— A więc cena powinna obecnie ustabilizować się i to chyba na dosyć wysokim poziomie, zwłaszcza, że Pan Profesor udziela gwarancji prawdziwości!

Zapewne, przypuszczam, że w handlu może cena kompletnej serji dojść do 30 złotych (za 9 sztuk), a w każdym razie ostrzegam wszystkich przed kupowaniem tych znaczków z tzw. niepewnych źródeł i to nisko oferowanych. Za pasy w większych firmach są poprostu znikome, tak, że zwyżka może wkrótce nastąpić. Stosunkowo dużo „Żarek" znajduje się w Niemczech, jednak nie sposób ich stamtąd otrzymać.

— A czy stempelek gwarancyjny Pana Profesora dla znaczków poczt miejskich, składający się z literek drukowanych, był już także podrobiony, tak jak minjatura oryginalnego podpisu? (stempelek gwarancyjny dla „krakowskiego wydania").

— Narazie nie spotkałem się z czemś podobnem, zresztą wielkość i układ literek jest trudny do naśladowania a pozatem podrabianie cudzego podpisu koliduje z kodeksem karnym, tak że filateliści nie potrzebują obawiać się niczego.

Dziękując w imieniu „Asa" panu profesorowi Miksteinowi za tak ważne i ciekawe wiadomości o nieznanych nam dotąd szczegółach, zakończyłem wywiad. **W. H.**

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

„INTERNATIONAL EXCHANGE CLUB POLAND" W TURKU. — Reprodukcji znaczków nie honorujemy. — Zwrócimy.

WPAN „JOT. BE. W WARSZAWIE: Adres prof. St. Miksteina: Kraków, ul. Pomorska 7.



Na lewo: Turniej w ramach „Dni Krakowa": Kopijnicy walczą na dziedzińcu Collegium Nowodworskiego

TURNIEJE RYCERSKIE

Ulubioną zabawą ludów rycerskich dawnych czasów były gonitwy i turnieje. Sposobiąc się do tych igrzysk rycerskich, walcząc w nich, z zapałem, ubiegając się o palmę pierwszeństwa, dawano dowody męstwa, siły, odwagi i zręczności. Nic więc dziwnego, że ten rodzaj zabawy stał się najbardziej fascynującą i najpopularniejszą rozrywką nietylko rycerstwa wieków średnich, ale też i monarchów.

Początek turniejów rycerskich, sięga jeszcze wieku X, a miejscem ich była Francja, skąd rozpowszechniły się po całej niemal Europie. W Polsce turnieje szybko się przyjęły i rozpowszechniły, a przyniesione zostały przez naszych rycerzy, wspomnieć choćby naszego Zawiszę Czarnego.

Pierwotnie zabawy te odbywały się na obszernych placach, zazwyczaj w pobliżu zamku bądź też klasztoru. Plac taki ogradzano parkanem albo ostrokołem, podobnie jak i same szranki, tj. miejsce przeznaczone dla walczących. Miejsca za szrankami, przeznaczone były dla widzów, to też zastawiono je ławkami lub miękkiemi siedzeniami, pokrytemi często bogatemi kobiercami. W lożach, nad któremi powiewały chorągwie przyozdobione godłami herbowemi, przygotowywano zaszczytne miejsca dla panujących, ich małżonek, dworu, dam i dziewic szlachetnego rodu. Obok zasiadali sędziwi rycerze, wsławieni w niejednych walkach turniejowych, mając przyznać pierwszeństwo i prawo do nagród potykających się w szrankach. W pobliżu miejsca turniejów rozbijano zwykle namioty, dla wygody rycerstwa i jego orszaków.

Szranki były dostępne dla chcących wziąć udział w turnieju, już na kilka dni przed jego rozpoczęciem. Tu też każdy wyzywający, zostawiał sowją kopję, zatkniętą w ziemię. Ten natomiast, kto chciał się spotkać z przeciwnikiem, na znak, że przyjmuje wyzwanie, zostawiał swoją tarczę i hełm herbowy, wsparty o kopję. W ten sposób można było się zorjentować, kto brał udział w turnieju.



Zbroja rycerska z XVI wieku.



Wyzwanie do walki na miecze. (Według ilustracji wyjętej z rękopisu w Bibljotece książąt Czartoryskich w Krakowie).

Pomocnym był jeszcze herold który oprowadzając damy i panów udzielał objaśnień do kogo należała dana zbroja. Jeśli między temi znajdowały się kopja, hełm lub tarcza rycerza, na którego dama zanosiła skargę czy to, że źle o niej mówił, czy też miała rzeczywistą inną urazę, lub doznała krzywdy, dotykała ich ręką zalecając go sędziom turnieju i dopraszała się wymiaru sprawiedliwości. Ci wytaczali bezwłocznie śledztwo i wydawali wyrok. Jeżeli obwinionemu dowiedziono zbrodni, karano natychmiast. Jeżeli mimo wyroku zuchwale stawał w szranki, spotykała takiego śmiałka przykra kara, bo obrzucony gradem pocisków musiał szranki opuścić z nauczką, jak ma szanować honor dam i prawa rycerstwa.

Na krótko przed rozpoczęciem się turnieju, sprawdzano jeszcze i pieczęcią cechowano oręż walczących, nie chcąc dopuścić, aby jakość jego miała jakikolwiek wpływ na przebieg walki i jej rezultat.

Porządku i kolejności zapasów strzegli heroldowie z dodaną sobie do pomocy strażą. Pomiędzy heroldami pierwsze miejsce zajmował „król bronny" („Roi d'armes"). — Obowiązkiem ich było wprowadzać mających pojedynczo walczyć rycerzy, czy też w oznaczonym zastępie zbrojnych. Oni też na wjeżdżających w szranki wołali „pamiętaj, czyim jesteś synem i nie bądź wyrodkiem". Służba heroldów wszędzie była obecną, czy to dla utrzymania w cichości zebranego ludu, czy też do usługi walczących rycerzy, którzy z przepychem ubrani, w towarzystwie swoich koniuszych i giermków poważnie i wspaniale wjeżdżali w otwarte szranki, często z przygrywającymi im dudarzami i grzmiącymi na trąbach surmarzami. Jeżeli rycerz, stający w szranki należał do magnackiej rodziny, to w orszaku jego spotkać można było jeszcze karła, niosącego buzdygan, a nawet błazna, trefnisia.

Niekiedy jednak damy i dziewice, osobiście wprowadzały na miejsce turniejów, rycerzy, zakutych w łańcuchy, jako swoich niewolników. Więzy te zdejmowały dopiero w samych szrankach. Tytuł niewolnika damy, której imię każdy wymawiał głośno, wchodząc do turnieju, był najwyższym zaszczytem dla rycerzy, którego dobijać się musieli świetnemi czynami. Damy i dziewice każda swemu rycerzowi dla okazania swojej łaski, ofiarowywała szarfę haftowaną własnoręcznie, kwef, wstęgi, bransoletę, cząstkę swego ubioru, albo nawet splot uciętych włosów. Rycerze darem tym, który zwano klejnotem albo szlachectwem, przyozdabiali swoją zbroję.

Kopją można było godzić w twarz lub pierś przeciwnika. To też biada rycerzowi, który nierozważnie zgwałcił prawa turniejowe, bowiem ściągał na siebie gniew i oręż kilku naraz wojowników. Mógł go uratować z tej przykrej opresji wybrany przez damy sędzia pokoju. Przybrany w odznaczający go z pośród rycerzy strój, stał zawsze w pogotowiu, aby stać się pośrednikiem. Jako zastępca dam uzbrojony w dużą kopję, na końcu której zawieszony był kwef niewieści, kiedy tylko obniżył ten znak łaskawości czyli glejt damski, jak zwykli byli mawiać walczący, nad hełmem przestępczego rycerza, ten stawał się wolnym i nietykalnym, bo osoba jego dostawała się pod opiekę dam.

Gonitwy kończyły się zwykle walką „na honor dam", co nazwano też „kopją damską". Po ukończonej walce, sędziowie ogłaszali zwycięzcę i naznaczali nagrodę. Wówczas to płeć piękna wybierała pomiędzy sobą tę, która miała zwycięzcy wręczyć nagrodę, a ten miał prawo tak pięknego i szlachetnego dawcę pocałować.

Turniej kończył się zazwyczaj wspaniałą ucztą w pobliskim zamku czy też grodzie, do którego wieziono zwycięzcę w licznym or-

szaku przy okrzykach rozbawionego ludu, odgłosie trąb i kotłów. Tu damy zdejmowały zeń zbroję i przystrajały w kosztowne szaty, poczem wprowadzały zwycięzcę na salę, gdzie panujący przyjmował go i sadzał na pierwszem miejscu przy sobie.

Zczasem przeniosły się turnieje rycerskie na dziedzińce zamkowe miast bądź to grodów, z których Kraków był jak gdyby predestynowany do tego rodzaju zabaw rycerskich, jakimi na owe czasy były turnieje. Posiadał przecież obszerny dziedziniec zamkowy, a jeszcze wspanialsze krużganki, mogące pomieścić wszystkich chcących być świadkami tego bądź co bądź niecodziennego zdarzenia. Nie należy przy tem zapominać i o Rynku Krakowskim, bodajże największym w Europie, bo i on niejednokrotnie był świadkiem zabaw rycerskich, przeznaczonych dla szerokich rzesz ciekawych. Nic więc w tem dziwnego, że Kraków urósł wkrótce do ośrodka turniejów rycerskich, które stały się też nieodstępną częścią każdej prawie koronacji, ślubów królewskich, czy też innych niemniej ważnych zdarzeń w życiu Krakowa.

Przed gonitwami, dziedziniec wysypywano grubo piaskiem, aby rycerz w ciężkiej zbroi upadający z konia nie doznał okaleczeń. Na bramie zamkowej natomiast przybijano artykuły, będące regulaminem dla biorących udział w turnieju. Niekiedy sam król był sędzią walczności lub zdawał tę funkcję starym i wprawionym w szrankach rycerzom. Tutaj też turnieje stawały się już prawdziwymi niemal bojami. Z opuszczonemi przyłbicami, w gończych a często nawet w ciężkich zbrojach, lecieli jedni naprzeciw drugich. Najpierw parami kruszono kopje, potem zebrawszy się w hufy każdy z własną chorągwią pod godłem herbowem uderzali na siebie z tarczą i mieczem. Dlatego też zazwyczaj przed zaczęciem walk w szrankach, rycerze wszyscy siadając na konie, przepraszali się wzajemnie, gdyby się w czasie walki raniono lub zabito.

Nagrodą zwycięzcy był wieniec, złoty pierścień, puhar, zbroja kosztowna lub koń z bogatym rzędem.

Pierwsze takie zabawy rycerskie spotykamy u nas już w XII wieku, na weselu córki Piotra herbu Łabędź, zwanego także Duńczykiem z Jaksą, księciem serbskim. Na turniej ten zaproszono między innymi i Dobiesza gońcę na owe czasy niepospolitego.

Turnieje urządzono na weselu wnuczki Kazimierza Wielkiego, a potem Kazimierza Jagiellończyka. W roku 1515, kiedy to Zygmunt I wraz z Władysławem, królem czeskim odwiedzili w Wiedniu cesarza Maksymiljana, w gonitwach, jakie się z tej okazji odbyły, wziął także udział Polak, Jan Tarło herbu Topór. Okazałym był też turniej rycerski, wyprawiony przez Zygmunta Starego z okazji przyjazdu do Krakowa królowej Bony, żony Zygmunta, na którym to turnieju wspomniany już Jan Tarło odniósł dank największy, bo margrabiego Kazimierza zbił z konia i w pełnej zbroi zrzucił na ziemię.

Jeszcze wspanialszym był turniej rycerski, w czasie uroczystości weselnych Zygmunta Augusta z Katarzyną Austrjacką, wyprawiony na zamku krakowskim. Wśród biorących udział wyróżnili się: Zygmunt Wolski miecznik, który z Kieżgajłą, zacnym szlachcicem litewskim w gonitwach na ostrze mężnie się potykał, oraz Kosmowski z koniuszym Księstwa Pruskiego. Po tych na zamku gonitwach rozpoczął się turniej w mieście na Rynku, w kolczych strojach. Tu każdemu wolno było (byle tylko zachował się podług regulaminu obowiązującego w turniejach na zamku) przyjechać i gonić z każdym, któryby się na placu stawił. To też nie jednemu z dwoma a nawet z trzema przyszło się potykać, zanim dojechał na przeciwną stronę szranki. A że gonili w zamkniętych hełmach, przeto mieli na nich znaki rozpoznawcze. Król i królowa przypatrywali się z gośćmi z wysokiego ganku, który był na to specjalnie uczyniony, mając przy sobie te klejnoty, które gońcom były wystawione. Między wszystkimi, którzy gonili, największy dank odniósł i pierwszy wziął klejnot Koniuszy Księstwa Prukiego, który na hełmie miał jako klejnot trzewik białogłowski. Drugi klejnot wziął Kosmowski dworzanin, osobliwy gońca, który w turnieju na zamku goniąc na ostrze z tym Koniuszym, odniósł dank. Inni natomiast gończy bądź to Polacy, Niemcy, czy też Prusacy, drugie odnieśli nagrody, tj. wieńce z pierścieniami, które zaraz sam król jako sędzia turnieju posłał z pochwałą.

Nie gdzieindziej, jak na turnieju, wzięła początek sprawa Samuela Zborowskiego, osławionego później banity.

Z racji przybycia do kraju nowego elekta Henryka III i jego koronacji, miały się odbyć na Zamku Krakowskim gonitwy i turniej rycerski. Samuel Zborowski zostawił na dzie-



Pojedynek rycerzy (Według starego sztychu,

dzińcu zamkowym swoją kopję zatkniętą w ziemię, wyzywając każdego w szranki. — Wziął ją niejaki Karwat, sługa Jana z Tenczyna, kasztelana Wojnickiego. Samuel oburzył się tem, przyjmując odpowiedz Karwata, na swoje wyzwanie jako obelgę, tembardziej, że musiałby walczyć z człowiekiem niskiego urodzenia i to w dodatku cudzoziemcem. To też nie stanął w szrankach, ale polecił bić się swojemu słudze. Gdy tymczasem inni gonili, a między innymi i ów Karwat z sługą Samuela, którego był dotkliwie poranił. Samuel zebrawszy znaczny orszak ludzi zbrojnych, wjechał na zamek krakowski, chcąc się rozprawić z Tenczyńskim, którego pomawiał o wyrządzenie mu tej obelgi. Niewątpliwie doszłoby do wielkiej burdy, gdyby nie król Henryk, który zabronił Samuelowi wstępu na dziedziniec zamkowy. Mimo jednak tego zakazu królewskiego nie uniknięto zwady. Samuel, wracając z zamku królewskiego spotkał się w bramie z Janem Tenczyńskim, który z licznym orszakiem jechał na turniej. Wraz z swoimi ludźmi uderzył na orszak Tenczyńskiego, raniąc czekanem Wapowskiego, który ciężko ranny niedługo wyzionął ducha. Ciężko potem przyszło odpokutować Samuelowi a skazany na banicję, kiedy pojawił się w pobliżu zamku krakowskiego, został pochwycony przez ludzi Jana Zamoyskiego, ówczesnego starosty krakowskiego i ścięty na zamku.

Niemniej okazałemi turniejami były turnieje rycerskie, wyprawiane przez osoby prywatne. Na weselu Piotra Potulickiego z Dorotą Wielopolską, panną dworu królowej Anskruszył trzy kopje. Zrvczność obu podobała się parze królewskiej, to też królowa Anna osobiście wręczyła im w nagrodę wieńce. Także i wesele Jana Zamoyskiego z synowicą Stefana Batorego zostało uświetnione turniejem rycerskim.

Niestety, tak piękny zwyczaj zabaw rycerskich zaczął zanikać w okresie Jana Kazimierza, a już za Stanisława Augusta nic się nie słyszy o turniejach rycerskich. Dziedzińce zamkowe nie rozbrzmiewają szczękiem zbroji, ani też bitewnym zgiełkiem.

Ale oto pewnego dnia zaroi się dziedziniec zamkowy barwnemi orszakami rycerzy, giermków, paziów i znów będą rozbrzmiewały echa walk rycerskich. Ożyją więc turnieje, ale inne, niż te przed wiekami, turnieje widowiskowe, które w ramach „Dni Krakowa" będzie można oglądać jako jedną z charakterystycznych scen starego i tradycją wieków żyjącego miasta Krakowa.

Mgr. Bronisław Cetera.



Wręczanie nagrody po skończonym turnieju. — (Z rękopisu w Bibljotece książąt Czartoryskich w Krakowie).



Na lewo: Walka na miecze dwóch rycerzy w bogatych strojach. Ciekawe są godła, umieszczone na szyszakach. (Z rękopisu w Bibljotece książąt Czartoryskich w Krakowie

ny Jagiellonki, w obecności króla Stefana Batorego odbył się turniej rycerski, na którym Mikołaj Taszycki, potykając się z marszałkiem nadwornym.

ARTYŚCI NA CENZUROWANYM:

NINA ŚWIERCZEWSKA

W granym obecnie w Teatrze Narodowym potężnym dramacie Słowackiego „Horsztyński" obok mistrzów polskiej sceny z Solskim, Węgrzynem, Brydzińskim, Stanisławskim i Zelwerowiczem na czele, duży sukces artystyczny odniosła w roli Amelji p. Nina Świerczewska. Nieprzeciętne warunki sceniczne, któremi rozporządza ta młoda artystka — głęboki liryzm, ciepłe, ujmujące uczucie, subtelna wnikliwość, prostota i szczerość, obok pełnej uduchowionego czaru urody, złożyły się na postać Amelji, o której Boy-Żeleński napisał w swej recenzji, że była spowita w melancholijne niedomówienie tajemnic.

Nie pierwszy to raz miała stołeczna prasa sposobność do wyrażenia się w najwyższych superlatywach o grze p. Świerczewskiej. Jej karjera sceniczna, to szereg pięknych sukcesów, począwszy od pierwszej roli w „Sobowtórze" w teatrze Solskiej, aż do chwili obecnej, jako cenionej artystki T. K. K. T., mającej poza sobą ciekawe role w „Sprawie Dantona", Niebieskich zalotnikach", „Poskromieniu złośnicy", „Rozbitkach", Klary w „Ślubach panieńskich" i wiele innych, a przedewszystkiem swój największy sukces, wprost rewelacyjną kreację tytułowej roli w „Szesnastolatce".

— Strasznie jestem już starą aktorką — mówi o sobie p. Nina, w trakcie miłej pogawędki w jej z kobiecym wdziękiem urządzonym buduarku. Obchodzę w tym roku 5-letni jubileusz! A przy tem jestem w świecie aktorskim, tym rekrutującym się z najmłodszego pokolenia, pewnego rodzaju unikatem. Nie mam bowiem żadnej szkoły dramatycznej. Uczyłam się jedynie gry scenicznej u dwóch naszych znakomitych artystek Ćwiklińskiej i Dulębianki, resztę sama, no i szczęśliwie zdałam po roku egzamin. Mój debiut też nie był łatwy, odbył się bowiem w Teatrze Solskiej, która pozwalała sobie na różne ciekawe eksperymenty. Raz się grało na jakimś małym skwerku na Żoliborzu, albo w lasku na Bielanach, to znów w salce, w której wokoło siedziała publiczność, a scenkę tworzyły dwa metry kwadratowe posadzki pośrodku. Potem grałam w Reducie piękną, o silnych dramatycznych akcentach rolę w sztuce Rostanda „Człowiek, którego zabiłem". Sztuka szła stokilkanaście razy. Po tej roli zaangażował mnie dyr. Szyfman do T. K. K. T., gdzie do tej pory pracuję.

Przeglądamy albumy z fotografjami p. Niny w najrozmaitszych rolach i stosy recenzyj. Podziwiam wybitną fotogeniczność artystki. Jej duże, piękne, jakby osnute mgłą melancholji oczy są jakby stworzone na ekran.

— Pani powinna grać w filmie — mówię do p. Niny.

P. Nina uśmiecha się tajemniczo.

— Właśnie niedawno spróbowałam swoich sił w obrazie: „Ty, co w Ostrej świecisz Bramie". I teraz z biciem serca i straszliwą tremą czekam premjery. Wprawdzie gram tam nieduży epizod, ale i tak wyobrażam sobie tę emocję, z jaką usiądę w kinie, by oglądać samą siebie. Żeby się tylko udało — wzdycha p. Nina. — Bardzobym chciała zagrać w filmie jakąś piękną, dużą rolę....

Miło się gawędzi z uroczą artystką, która z ujmującym wdziękiem spełnia rolę pani domu. Zbliża się jednakże godzina siódma. Dla jednych pora wypoczynku i rozrywki, dla artystów — pracy. Żegnam więc p. Ninę, życząc jej całem sercem, by się spełniły jej pragnienia filmowe.

Z. Ordyńska.



Powyżej: Nina Świerczewska jako Amelja w „Horsztyńskim".



Na lewo: Artystka „po cywilnemu".



Na prawo: ...a tu z Zelwerowiczem jako Pola w sztuce Blizińskiego „Rozbitki".

DAR DANAÓW

EUGENJUSZ SZAMBORSKI

N ★ O ★ W ★ E ★ L ★ A

Rudzki wchodził zwykle do swego laboratorjum z pewnym niepokojem. Mimo skomplikowanych zamków i okratowanych okien miał obawy, czy ktoś nie wtargnie do pracowni i nie odkryje tajemnicy wynalazku.

W przeciwieństwie do wielu uczonych, których wynalazki powstają przypadkowo, względnie zczasem dopiero nabierają znaczenia, Rudzki całkowicie zdawał sobie sprawę z dzieła, które tworzył. Należał do ludzi zdążających konsekwentnie do celu od chwili powzięcia zamiaru.

Było to dawno — przed wielu laty. W powodzi wspomnień dzieciństwa, zacierających się powoli w pamięci, Rudzki z całą plastyką uprzytomnił sobie chwilę, gdy jako kilkuletni chłopiec dostał od ojca w upominku scyzoryk. Wszystkie zalety tego scyzoryka pozostały bez znaczenia wobec jednej — cudownej zalety — przyciągania szpilek, igieł i innych drobnych przedmiotów stalowych. W kilka lat później, gdy zobaczył szaro-brunatną bryłkę magnesu, przyciągającą ze znacznej odległości opiłki żelaza, doznał uczucia zachwytu, połączonego z postanowieniem zgłębienia nieznanej, jeszcze niezrozumiałej dla niego tajemnicy.

To postanowienie zdecydowało o dalszych losach Rudzkiego, a konkretny cel skrystalizował się, gdy jako młody student porzucił czasowo naukę i poszedł pełnić żołnierską powinność.

Wojna wywarła wielkie wrażenie na kształtującym się dopiero umyśle Rudzkiego. Pełen młodzieńczego zapału powziął plan walki z okrucieństwem wojny. Wtedy to zaczęły kojarzyć się spostrzeżenia, obracające się dokoła cudownego scyzoryka i brunatnej bryłki magnesu.

Rudzki rozumował jasno i logicznie. — Należy skonstruować coś, co, działając jak magnes z wielokrotnie powiększoną siłą przyciągania, spełniałoby rolę „kulochwytu", ściągając pociski, jak magnes opiłki żelaza.

Jako student politechniki Rudzki wykazał nadzwyczajne zdolności. Po ukończeniu jej został asystentem jednego z profesorów. Wkrótce porzucił to stanowisko i rozpoczął samodzielną pracę.

Po kilku miesiącach zamiary Rudzkiego przestały być tajemnicą. Wśród znajomych mówiono o nim często, podziwiając wytrwałość oraz całkowite i tak długie odosobnienie. Młody inżynier był mile widziany w towarzystwach, zwłaszcza damskich, jako dobra partja, przemiły towarzysz i przystojny mężczyzna.

Wiadomość o wynalazku Rudzkiego dostała się do prasy.

W jednym z dzienników ukazała się lakoniczna wzmianka, iż znany w kołach młodych uczonych, bardzo zdolny inżynier A. pracuje nad wynalazkiem, mającym uniemożliwić prowadzenie wojny środkami odgrywającemi dotychczas rolę zasadniczą, mianowicie za pomocą broni palnej. Autor wyrażał przytem poważne wątpliwości, czy tego rodzaju wynalazek jest możliwy. W kilka dni wiadomość obiegła całą prasę. Z nikłej wzmianki urosły całe artykuły. Na podstawie zbieranych różną drogą wiadomości starano się odgadnąć tajemnicę. Wiele dzienników powoływało się na wybitne zdolności młodego inżyniera, co dawało pewną gwarancję, iż sprawę należy traktować poważnie.

Rudzki wyłączył telefon. Z nikim się nie widywał, nigdzie nie bywał, mimo to codziennie ukazywały sę wzmianki, dotyczące jego osoby, wynalazku, najczęściej odbiegające daleko od prawdy. Wiadomości te obiegły całą prasę zagraniczną, wywołując najrozmaitsze zdania i poglądy. Przedostały się także do Ameryki.

Naczelny dyrektor wielkiej wytwórni broni wojennej przetarł starannie okulary i z uwagą rozpoczął powtórne czytanie sensacyjnego artykułu. Potem nacisnął kolejno szereg dzwonków elektrycznych. W kilka sekund zjawili się kierownicy wszystkich działów wytwórni.

Narada trwała krótko.

— Każda suma jest do przyjęcia — mówił naczelny dyrektor — oczywiście po należytem zbadaniu sprawy na miejscu. Ma pan całkowite pełnomocnictwo, panie Pocket. Jeżeli pieniądze zawiodą, przyjmujemy pański plan bez zastrzeżeń. Życzę powodzenia i oczekuję wiadomości.

ki postanowił udzielić sobie urlopu — na cały wieczór. Z uwagą przejrzał w gazecie repertuar teatrów i zamówił telefonicznie lożę.

Gdy przyjechał do teatru, przedstawienie było już zaczęte Setki par oczu śledzą ciekawie akcję. Ze sceny padają słowa pełne treści, twarde, gniewne, to znowu słodkie, pieszczotliwe. Czasem znów zabrzmiał śmiech.

Akcja toczy się w pięknym słonecznym parku. — Po długich dniach pracy Rudzki z przyjemnością oddaje się czarowi sztuki, zachwyca doskonałą grą artystów, śledzi z zaciekawieniem świetnie rozpoczętą intrygę.

Silna woń perfum odrywa na chwilę jego uwagę. W sąsiedniej loży spóźnieni goście zajmują miejsca. Wkrótce koniec aktu. Kurtyna. — Oklaski. — Światło na widowni. Rudzki ukłonił się komuś znajomemu, do kogoś się uśmiechnął, rozejrzał uważniej po widowni.

Lekko falujące włosy, jasne jak w złocie kąpane. Obnażoną szyję przykrywa piękny, puszysty kołnierz. Duże niebieskie, silnie błyszczące oczy spojrzały na niego, na widownię i jakby przyciągnięte siłą jego zdumionych źrenic wróciły ku niemu zpowrotem.

Rudzki był przystojny, dobrze zbudowany, o ostrych, męskich rysach twarzy. Mógł się podobać kobietom i umiał się podobać. Spragniony towarzystwa z zadowoleniem przyjął spojrzenie pięknej kobiety. Z pod przysłoniętych powiek obserwował nieznajomą. Złote fale włosów, które najpierw zauważył i które tak bardzo u kobiet lubił, zaciśnięte dumnie usta, dyskretnie wycięta suknia.... Przyzwyczajona widocznie do takich spojrzeń, wytrzymała spokojnie błysk jego oczu. Uśmiechnęła się lekko. Spojrzenia spotkały się pewniej, silniej.

— Piękna — myślał Rudzki — i mimowoli począł kreślić na aksamitnym obramowaniu loży, litera po literze: p i ę k n a.

Metaliczny dźwięk: zaczął się drugi akt.

Rudzkiemu sztuka wydała się teraz mniej ciekawa i zajmująca. Akt drugi stanowczo trwał za długo... i ten silny zapach perfum z sąsiedniej loży... Mimo szczerych chęci co chwila odbiegał myślą od akcji, rozgrywającej się na scenie i starał się odgadnąć, kim jest nieznajoma i czy zauważyła nakreślone słowo — piękna.

Znowu kurtyna, oklaski, światło...

Siedziała, rozglądając się ciekawie po widowni. W pewnej chwili, jakby przypadkowo, oczy jej zwróciły się w stronę Rudzkiego. Ręką szybko nakreśliła słowo: z u c h w a ł y i zaczęła otwierać bombonierkę z czekoladkami, aby poczęstować sąsiada, którym dopiero teraz Rudzki zainteresował się. Starannie, elegancko ubrany pan, o wyglądzie cudzoziemca odnosił się do swej towarzyszki z wielką uprzejmością.

— Napewno nie mąż, pomyślał Rudzki — jest za uprzejmy i nie patrzy na inne kobiety.

Gong — ostatni akt. — Koniec.

Fala ludzi porwała Rudzkiego ku wyjściu. Kilkakrotnie błysnęły piękne złociste włosy. Powodowany jedną myślą, stale podążał w tym kierunku, starając się za wszelką cenę znaleźć przy nieznajomej. Otulona w piękny płaszcz stała blisko wyjścia, rozglądając się za kimś. Rudzki domyślił się, iż prawdopodobnie towarzysz nieznajomej został oddzielony od niej przez tłum. Kilka sekund — oczy ich spotkały się.

— Czy mogę pani czemś służyć?

Usta pięknej pani rozchyliły się słodkim uśmiechem.

— Chciałem panią przeprosić...

— Do widzenia — rzuciła i zniknęła w wyjściowych drzwiach.

Rudzki przecisnął się przez tłum. Kilka zimnych kropel spadło mu na twarz. Padał deszcz.

Otulając się płaszczem, nieznajoma usiłowała przywołać auto. Głos jej ginął w nawoływaniu szoferów, warkocie motorów, hałasie sygnałów...

— Dobry wieczór. Przed chwilą powiedziała mi pani do widzenia. Cieszę się bardzo, że tak prędko panią znów spotykam.

— Niech pan sobie wyobrazi — zaczęła skarżyć się, jak staremu znajomemu, mój towarzysz zginął, nie mogę dowołać się swego auta — skarżyła się jak dziecko, pięknym, rozkapryszonym głosem, — deszcz pada...

— Cudne loczki rozkręcą się — dokończył Rudzki.

Niebieska limuzyna zatrzymała się tuż przed nimi.

— Czy mogę panią prosić o skorzystanie z mego auta? — Deszcz pada coraz większy — dodał przekonywująco.

Chwila wahania: lekko ujął ją pod ramię.

Wtuliła się w miękkie poduszki auta.
— Gdzie mamy jechać?
— Aleje Ujazdowskie...
Powtórzył szoferowi adres, dodając: — jedź najdalszą drogą.
— Obawiam się pościgu — oświadczyła.
— ?
— Wykradł mię pan z pośród tylu ludzi — tak niespodziewanie, późnym wieczorem — dodała zalotnie. — Czy to nie wygląda na...
— Romantyzm?
Roześmiali się oboje.
— Powinien pan być za tę romantyczność ukarany.
— Proszę mię aresztować i proszę o najsurowszy wymiar kary. — Oddaję się dobrowolnie do dyspozycji — z uszanowaniem pochylił głowę — choćby na całe życie...
— Czy to oświadczyny?
— Tak! — Tylko jeszcze nie formalne.
— W takim razie proszę kazać szoferowi jechać prędzej!
— ?
— Gotowa jestem odwzajemnić się panu.
Nagły wstrząs, zgrzyt hamulców. — Na skrzyżowaniu, tuż przed autem Rudzkiego zatrzymała się równie gwałtownie inna limuzyna.
— Omal nie katastrofa! — W ten sposób nie prowadzi się maszyny! — Trzeba znać przepisy — irytował się Rudzki. — Bardzo panią przepraszam, proszę się uspokoić. Straciła pani zupełnie humor. Proszę choć o jeden jeszcze uśmiech. Pani tak cudnie śmieje się... Niestety, jesteśmy na miejscu.
— Do widzenia.
— Kiedy?
— ...bywam w Łazienkach w godzinach popołudniowych.
Mała wypielęgnowana ręka wysunęła się delikatnie z dłoni Rudzkiego.
Po kilku minutach Ellen Mawington znalazła się w swym, z przepychem urządzonym, buduarze. Zawsze spokojna starała się opanować dziwny niepokój.
Pukanie... prawie jednocześnie ktoś otwierał drzwi.
— Pocket! — powiedziała z niechęcią. — Już pan powrócił?
— No i cóż? — Przestraszyłem panią tą katastrofą — mówił po angielsku. — Lubię czasem przypomnieć.... o tem... o czem łatwo zapomnieć w towarzystwie tak przystojnego mężczyzny, jakim jest Rudzki. — Tembardziej, gdy tak długo czekało się na okazję. Jakże sprawa?
— Proszę zostawić mię w spokoju.
— Jest pani zdenerwowana, napewno wypadkiem. — Chciałem tylko znowu przypomnieć, że w naszym zawodzie trzeba mieć silne nerwy, no i... silne serce. — Uczucia, bo i to czasem może się zdarzyć, to luksus dla ludzi z innego świata... Życzę spokojnej nocy i... dobrego humoru.
Rudzki codziennie był w Łazienkach. Mimo każdorazowego zawodu, jaki go spotykał, spacer wpływał dodatnio na wynik pracy. Starał się tłumaczyć chwilowe niepowodzenie w różny sposób, oddając się tem intensywniej badaniom, zmierzającym do ukończenia swego dzieła. Prawie nieświadomie łączył sprawę wynalazku z osobą nieznajomej. Cieszył się myślą, że będzie mógł kiedyś jej to powiedzieć i dzielić z nią swą radość.
Patrzył w rozsłonecznioną, soczystą zieleń parku....
Przemiły dźwięczny śmiech...
— Przeszkadzam?
— Tak bardzo myślałem o pani.
— Może dlatego tak bardzo chciałam pana zobaczyć.
— Wierzy pani w łączność myśli?
— A pan?
— W tej chwili, tak.
— Tak uporczywie pan mi się przygląda... — Zmieniłam się?
— Nie.
— Więc?
— Dawno pani nie widziałem...
— Tęsknił?
— Tęsknił.
— ?
— Też...
— . . . . .
— Będziemy teraz spotykali się często, — codziennie, — prosił.
Ellen patrzyła na Rudzkiego dużemi błyszczącemi oczami. Oczarowany jej pięknością nie dostrzegał smutku, który przesłaniał te właśnie duże piękne oczy.
Dni płynęły. Po każdem spotkaniu Rudzki wracał pełen zapału i energji, pracując całemi nocami. Przeprowadzał dziesiątki doświadczeń, utwierdzając się w przeświadczeniu, iż jest na właściwej drodze oddania światu wynalazku, który na długi czas położy kres temu, co jest — jego zdaniem — zaprzeczeniem kultury i wszelkiego rozumnego postępu — wojnie.
Tymczasem Ellen przesiadywała całemi godzinami zamyślona, unikając rozmowy z Pocketem, który w tej chwili, zaciągając się najlepszej marki papierosem, rozpoczął rozmowę.
— I cóż? Sprawa się przeciąga. Tak. Czy nie dowiedziała się pani, jak daleko zaawansowany jest Rudzki w swej pracy?
— Owszem, — odpowiedziała prawie szorstko, — wkrótce kończy.
— Ach, tak?! Więc i my musimy kończyć. — Przysunął bliżej fotel i ściszył głos. — Chciałem pani przedtem przypomnieć...
— Wiem, słyszałam to nieraz... że wam zawdzięczam bogactwo — wolność... Czy jednak za czyn, którego popełnienie człowiekowi przypisano wskutek zbiegu okoliczności...
— Wszystko bez znaczenia. Pani wie, co jej groziło — mówił twardo, — wszelki sprzeciw z pani strony jest bezcelowy. Nie pani, to kto inny — rezultat będzie ten sam. Panią wtedy czeka... Niestety, zmuszony będę działać zdecydowanie! A gdyby pani chciała go ostrzec — to oboje — pani rozumie... Natomiast po powrocie czeka panią królewskie przyjęcie. Radzę się zastanowić. Świat jest piękny — życie również... Pani ma dużo szczęścia w życiu. Taki, powiedzmy, przypadek, jak wychowanie się w rodzinie polskich emigrantów: nauczyła się pani języka i teraz dzięki temu... robi pani karjerę. Wprawdzie ta sprawa...
— Pan wie, że to było nieporozumienie.
— Wiem, żeśmy panią uratowali — to znowu szczęście. — A że coś za to żądamy... Nasze porachunki muszą się zbilansować. Uczucia?... Niepotrzebny w życiu balast... Więc — skłonił się z przesadną uprzejmością — oczekuję łaskawej decyzji...
W kilka dni później tłumaczył Ellen:
— Przedewszystkiem — pewność siebie. Nasza elegancka torebka, którą może nosić najwytworniejsza pani bez wzbudzenia podejrzeń, jest niezawodna. Przypominam pani nastawienie: przesunięcie gałek w prawo — mechanizm zaczyna działać. Każdy obrót gałek przesuwa czas... pani wie... o pół godziny, więc zależnie od okoliczności. Wszystko dalsze tak, jak omówiliśmy. — Życzę powodzenia...
Po kilkunastu minutach witała się z Ryszardem, oczekującym w umówionem miejscu:
— Cóż to moja pani ubrana po podróżnemu? — Wyjeżdżamy? — Świetnie!
— Ależ nie — obiecałeś mi dzisiaj pokazać swoją pracownię.
— Naturalnie! — Wszystko przygotowane na przyjęcie tak dostojnego i pierwszego u mnie od wielu miesięcy gościa.
Przywołał taksówkę.
— Żelazne drzwi — dziwiła się Ellen, gdy przybyli na miejsce i Rudzki otwierał skomplikowane zamki.
— Dla bezpieczeństwa. Przyjaciele wojny są nieprzyjaciółmi pokoju i — moimi, a przedewszystkiem wynalazku! Nie wyobrażasz sobie Ellen, ile miałem propozycyj, zwłaszcza ze strony wielkich przedsiębiorstw sprzętu wojennego. — Idei pokoju nie kupuje się, ani nie sprzedaje za żadną sumę, — ale czemu jesteś taka przerażona? — W tej chwili napewno nikt na nas nie czyha, no odważnie...
Zgrzytnęły zawiasy ciężkich drzwi.
— Oto mój świat...
Ellen patrzyła na nieznane jej przyrządy, aparaty, przewody elektryczne, stosy książek i notatek, przeróżnych narzędzi, linij, cyrkli, próbówek, naczyń szklanych różnej wielkości i... duży piękny bukiet szkarłatnych róż, ustawiony pośrodku, na zaimprowizowanej półce.
— To dla mej pani.
— Róże... cudne. — Wiesz, bałabym się sama pozostać tutaj — mówiła zdenerwowana. Zróbmy próbę. — Pozostaw mię samą na chwilę i zamknij drzwi — patrzyła z niepokojem na Ryszarda. — Dobrze? — Wyjdź do drugiego pokoju. — Chcę mieć pewność, że nikogo niema blisko — prosiła.
— Ależ Ellen...
— Ryś...
— No, dobrze już, dobrze.
— Nie gniewasz się?
— Nie.
— Nie będziesz gniewał się na mnie nigdy?
— Nie, Ellen.
— Nawet gdybym zrobiła ci coś... no więcej niż przykrość?
— Wiem, że nie zrobisz.
— Ryś — mówiła miękko, z przepojoną smutkiem słodyczą — jestem czasem bezradna, jak dziecko... Gdybyś ty mógł wiedzieć, jak dziwny splot wypadków rządzi człowiekiem! Wspominałam ci kiedyś, że wierzę w przeznaczenie. Widzisz, to jest moje nieszczęście. Nie znajduję siły oparcia się czemuś, uznając to za konieczność przeznaczenia. Staję się narzędziem w ręku jakichś nieznanych mocy. Ale czemu tak bardzo posmutniałeś?
— Mam tylko jedną odpowiedź...
— Nie mów... teraz nie... już widzisz, że wracam do równowagi, zostanę sama. Wypraszam cię z twej własnej pracowni — usiłowała się uśmiechnąć — ale pozwoliłeś! No już! — prosiła.
Obejrzała się na zamknięte drzwi.
— Już... — mówiła do siebie. — Po kilku chwilach zatrzasnęła drzwi. Zgrzytnęły automatyczne zamki.
— Co się stało, Ellen?
— Wiesz, naprawdę bardzo bałam się. Dlaczego tak bardzo mi się przyglądasz?
— Ellen...
— Usiądźmy, zaraz się uspokoję... tak... Widzisz, czasem człowiek doznaje dziwnego uczucia, że z jakiejś przyczyny musi rozstać się z drogą osobą. Mówił mi ktoś niedawno, że życie jest piękne, ale jakże bywa ciężkie... — Zamyśliła się. — Tak mi dzisiaj to moje biedne serce bije niespokojnie — ale nie przerywaj mi — ...aha, więc gdybyśmy mieli kiedyś tak niespodziewanie, wiesz, tak nagle rozstać się, chciałabym pozostawić ci coś...
— Tylko siebie, Ellen...
— Jesteś niepoprawny. Mówiłam ci tyle razy, że to niemożliwe; pozostawić coś, abyś o mnie długo i zawsze pamiętał... Mogłabym dziś, w tej chwili — należeć do ciebie... Człowiek podobno przestaje pragnąć i tęsknić do tego, co już osiągnął, a ja chciałabym, żebyś tęsknił do mnie zawsze. Więc, gdybyśmy się rozstali — nie myśl nigdy źle o mnie...
— Ależ, Ellen! Jest ci dobrze ze mną?
— Bardzo... mimo to — spojrzała nerwowo na zegarek — odprowadź mnie do domu i... pamiętaj, o co proszę.
— Torebka — zauważył Ryszard przy wyjściu — zostawiłaś pewnie w pracowni, zaraz przyniosę.
Zatrzymała go nerwowo.
Dokończenie na str. 14-tej.

„KOLEŻEŃSKI" POSIŁEK...



Dokończenie ze str. 12-tej.

— Może to ta pamiątka — roześmiał się Rudzki, chcąc rozweselić Ellen.

— Zabiorę... innym razem.

Nastrój Ellen udzielił się Rudzkiemu. Mimo wspólnych usiłowań, nie mogli nawiązać rozmowy. Rzucane bez związku słowa ginęły w wielkomiejskim chaosie. Mijali setki ludzi roześmianych, zadowolonych, to znowu smutnych, zadumanych. — Tak jak w życiu — myślała Ellen. — Radości... Smutki... Zatrzymali się w miejscu, gdzie zwykle się rozstawali.

— Nie chodź jeszcze do domu, Ryś. — W Łazienkach musi być cudnie. Tyle słońca. Ty tak lubisz słońce... Żałuję, że nie mogę z tobą pójść. Tyle tam naszych wspólnych kochanych wspomnień... Idź już.

Przez przymglone łzami oczy patrzyła na ginące w tłumie przechodniów, sylwetkę Rudzkiego.

— Lotnisko — rzuciła szoferowi pierwszej spotkanej taksówki.

Nie długo czekała. Po kilku minutach zjawił się Pocket.

— Doskonale — mówił rozradowany — wybuch był nadzwyczajny. W tej chwili gromadzą się tam tłumy ludzi i policja. — Jest pani gotowa? — dodał pospiesznie.

— Tak...

— Nadam jeszcze telegram.

„Fabryka broni wojennej w... U. S. A." — pisał przy okienku pocztowem. — „Wracamy. Sprawa zlikwidowana pomyślnie".

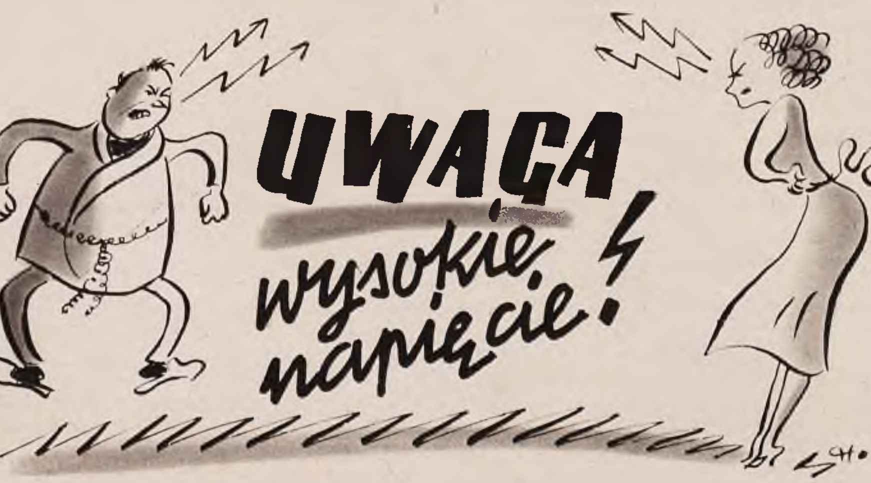
— Jestem Rudzki. — Posterunkowy przepuścił go do środka pracowni.

— Wypadek mógł być spowodowany na skutek działania silnych materjałów wybuchowych — tłumaczył komisarz policji. — Czy pan podejrzewa kogoś?

Rudzki uprzytomnił sobie ostatnie chwile z Ellen... — zapomnianą torebkę .

— Nie, panie komisarzu - odpowiedział zdecydowanie.

Patrzył z dziecinną bezradnością na leżącą w gruzach pracę... pogrzebane nadzieje sławy... porwane strzępy szkarłatnych róż...



UWAGA wysokie napięcie!

Jest rzeczą stwierdzoną, że większość nieporozumień w życiu wypływa nie z wielkich powodów, lecz z drobiazgów, o których zasadniczo nie warto mówić. Irytuje mnie naprzykład, że mój znajomy, który zresztą jest ideałem człowieka, pożycza mi regularnie co pewien czas 10 złotych, funduje mi kolacje, zabiera mnie do kina i teatru i obiecał zapisać mi w testamencie cały majątek, dłubie wykałaczką w zębach, zasłaniając twarz ręką! Poprostu biorą mnie djabli! Jedna moja znajoma ma znowu to miłe przyzwyczajenie, że pyta się o coś i wcale nie czeka na odpowiedź. Za każdym razem muszę opanowywać się całą siłą woli, aby jej nie nagadać głupstw, lub nie uderzyć jakimś ciężkim przedmiotem.

Zwłaszcza w małżeństwie usuwanie takich drobiazgów, które obie strony doprowadzają do białej pasji jest rzeczą nietylko wskazaną, ale wręcz konieczną. Nie sięgając już do owego Mazura z pod Zgierza, o którym mówi Mickiewicz, sprzeczającego się z żoną o to, czy pies jego był golony, cyz strzyżony, można na każdym kroku zauważyć rysy na pożyciu małżeńskiem, tworzące się właśnie z powodu tych głupstw. Znam pewną uroczą Warszawiankę, która znienawidziła swego męża tylko dlatego, że nie umiał dobrać krawatu! I np. do granatowego garnitury brał krawatkę zieloną, a do bronzowego białą... Od codziennych scysyj, w których mąż walczył o swój punkt widzenia tak, jakby chodziło o rzecz zasadniczą, doszło wkrótce do niesamowitych awantur, które skończyły się rozwodem. Wielki niemiecki psycholog br. Knigge napisał wprawdzie ciekawy podręcznik postępowania z ludźmi, ale nie wyczerpał tematu. Widocznie kwestje małżeńskie nie były w XVIII wieku tak zawikłane, jak dziś, bo nie uwzględnił wielu momentów, grających dzisiaj dużą rolę.

Życząc dobrze stadłom małżeńskim zamierzamy zestawić te wszystkie nawyczki i odruchy, jakim podlegają liczni mężowie i żony, a które są powodem niesnasek domowych. Lista to nader długa i napewno jeszcze nie kompletna: wystarczy jednak, aby z bieżącego życia usunąć pewne momenty, zmieniające „ognisko domowe" w wulkan, ziejący ogniem i siarką — aby zyskać jakie takie „zawieszenie broni".

Oto przyzwyczajenia, które wyprowadzają z równowagi towarzyszkę życiową: jeżeli choćby na połowę poniżej podanych pytań odpowie pan „tak", może pan być pewny, że pańskie szczęście rodzinne wisi na włosku, złotym, czarnym czy tycjanowckim, to jest już obojętne...

A więc zaczynamy:

1. Czy pan zakrywa się poranną gazetą podczas śniadania, nie zwracając uwagi na żonę?

2. Czy pan, czytając nadeszłą korespondencję słucha wywodów żony tylko jednem uchem?

3. Czy podczas, gdy żona pańska opowiada w towarzystwie jakąś anegdotę, przerywa jej pan mówiąc: „Pozwól, że ja opowiem, bo kobiety nie umieją opowiadać anegdot"?

4. Czy opowiada pan w jej obecności, będąc w towarzystwie obcych osób, historję, którą słyszała już z 50 razy?

5. Czy zdradza pan znajomym wiek swojej żony?

6. Czy mówiąc o pańskiem małżeństwie wyraża się pan: „Gdy zostałem złapany", lub też „Gdy podpisałem wyrok na siebie"?

7. Czy tłumaczy pan swej żonie po rozegraniu partji bridża ze znajomymi, jakie popełniła błędy i wykazuje jej brak logiki?

8. Czy wspomina pan czasy kawalerskie ze wzruszeniem, opowiadając o różnych ówczesnych epizodach?

9. Czy będąc zaproszony na kolację do znajomych mówi pan do gospodarza, gdy ten nalewa pańskie żonie jakiś dobry trunek do kieliszka: „Nie dawaj mojej żonie dobrego koniaku, bo ona i tak pije tylko z grzeczności"?

10. Czy odrywa pan swoją żonę od rozmowy z przyjaciółką, mówiąc: „Nigdy nie pamiętasz o tem, że muszę wcześniej wstać i chcę się wyspać"?

11. Czy porównuje pan sposób prowadzenia gospodarstwa swojej żony z gospodarstwem własnej matki?

12. Czy mówi pan do żony: „Ty nigdy nie masz czasu, chociaż przecież nie masz nic do roboty"?

13. Czy nie uprzedziwszy żony, przyprowadzasz na obiad kilku przyjaciół i dziwisz się, że żona jest niezadowolona?

14. Czy mówisz do żony: „Ja mógłbym za połowę tych pieniędzy, które ty wydałaś, urządzić się daleko wygodniej na letnisku"?

15. Czy zapomina pan o imieninach żony?

16. Czy całuje pan żonę wtedy, kiedy dopiero co ukarminowała sobie usta?

17. Czy wraca pan do domu późno i nieco „podgazowany"?

18. Czy strzepuje pan popiół na posadzkę, oświadczając, że jest to świetnym środkiem przeciwko mołom?

19. Czy kładzie się pan na kanapie, opierając na niej nogi w zabłoconych butach?

20. Czy zwraca pan uwagę swej żonie właśnie w chwili, kiedy flirtuje z swoim znajomym, że nos jej się świeci?

21. Czy będąc na dancingu tańczy pan z żoną rzadziej, jak z innemi kobietami?

22. Czy lubi pan przesiadywać całemi godzinami w łazience, nie pozwalając żonie korzystać z niej?

23. Czy opowiada pan w domu szczegółowo to wszystko, co zdarzyło się w pańskiem biurze?

24. Czy powróciwszy późno do domu opowiada pan żonie przebieg „lumpki", w której brał pan udział?

25. Czy gasi pan światło wieczorem właśnie w chwili, kiedy pańska żona zaczytuje się jakąś emocjonującą powieścią?

Ale nie przypuszczajmy, że kobiety są bez zarzutu pod tym względem i nie robią niczego, coby mężów ich nie wyprowadzało z równowagi. Owszem! I one mają swoje drobiazgi, które grają na nerwach nawet najbardziej wyrozumiałym i spokojnym mężczyznom. Mając na uwadze należne kobietom względy, przytoczymy tylko kilka z tych kobiecych nawyczek w formie kwestjonarjusza:

1. Czy pani lubi prowadzić nie kończące się rozmowy telefoniczne ze swoją przyjaciółką?

2. Czy ze zbliżającą się wiosną, latem, jesienią i zimą twierdzi pani z niezwykłym uporem, że nie ma poprostu co włożyć na siebie, gdy tymczasem pani Ela dawno już otrzymała od swego męża futro, suknię, kapelusz itd.?



Lektura gazety podczas śniadania doprowadza żonę do ... białej gorączki.

3. Czy podczas kiedy mąż opowiada pani jakieś ważne wydarzenie ze swego życia, pani z uwagą godną lepszej sprawy maluje sobie brwi lub usta, nie słuchając bynajmniej tych wywodów?

4. Czy pani, biorąc do ręki filiżankę zakrzywia mały paluszek w sposób niemniej pretensjonalny, jak nieestetyczny?

5. Czy słuchając poważnej rozmowy poczyna pani, znudzona towarzystwem, wędrować oczami po ścianach lub po dywanie, licząc na nim kwiatki i ozdoby?

6. Czy poszedłszy z mężem po długich prośbach na klasyczną sztukę do teatru, w której poza suflerem wszyscy umierają na scenie, oświadcza pani, żeby wolała oglądać film z Flipem i Flapem lub Chaplinem?

7. Czy pani, poznawszy przyjaciela męża oświadcza po krótkiej z nim rozmowie, że jest to „człowiek o głębszej wartości i świetnie ją rozumie“?

8. Czy w różnych okolicznościach życiowych, gdy mąż panią pyta o zgodę oświadcza pani z błogim uśmiechem: „Jak chcesz kochanie“?

9. Czy skoro mąż wraca do domu po kilku dniach nieobecności wszystkie książki i papiery na jego biurku ułożone są według wielkości i tak, że nic nie może znaleźć?

10. Czy pani wypytuje męża o dawne „kawalerskie flirty“, chcąc się dowiedzieć, czy kochał inne kobiety poza nią?

Nie będziemy dłużej wytykać pięknym paniom różnych drobiazgów, które są nieraz powodem awantur domowych. Jeżeli choćby na połowę tych pytań mężowie dać mogą potwierdzającą odpowiedź, spokój domowego ogniska będzie przypominał zbrojną neutralność współczesnej Europy...



...jako rewanż oddaje się ona zabiegom kosmetycznym, podczas gdy mąż opowiada jej o jakiejś ważnej sprawie.

Mając w ręku spis „rozsadników niepokoju“ w życiu małżeńskiem, zarówno panie jak i panowie będą mogli wystrzegać się wszelkich „casus belli“. A więc sprawujcie sami rolę „komisji nieinterwencji“ i zdążajcie z różdżką oliwną w ręku ku pacyfikacji „gniazdka domowego“!

Jan Małeszewski.



Tak obecnie wyglądają pięcioraczki kanadyjskie.

PUPILKI KANADY

„Pięcioraczki kanadyjskie“ zainteresowały swego czasu cały świat. Dziś, w dalszym ciągu każdy ich krok śledzą z największą skwapliwością dziennikarze amerykańscy, snując przypuszczenia na temat przyszłości dzieci pp. Dionne. Poniżej zamieszczamy ciekawy wywiad z ojcem pięcioraczków.

Wielu ludzi nazywa mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, — rozpoczyna M. O. Dionne opowieść o swych przeżyciach w związku z urodzeniem się pięcioraczków. Dzieci moje stały się rodzajem „gwiazd“ w całej Kanadzie, budząc ogólne zainteresowanie. Jeden z moich dawnych znajomych z Chattanooga w St. Tennessee oświadczył mi niedawno: „Z tysiącem turystów udałem się ostatnio, aby oglądać twoje pięcioraczki. Szczerze ci zazdroszczę: od 10 lat jestem żonaty i nie mam dzieci. Ale zabrałem jako amulet kamień z podwórza twojego domu, to chyba pomoże!“.

— Wiedziałem dobrze, że większość osób odwiedzających nasze pięcioraczki zaopatruje się równocześnie w kamienie z naszej fermy, co ma zapewniać młodym małżeństwom potomstwo. Wytworzył się na tem tle specjalny przesąd, któremu podlegają tysiące osób. Ilość zabranych kamieni zależy od ilości dzieci, jakie dane małżeństwo chce posiadać. Opowiedziałem mojej żonie Elzire o spotkaniu ze starym znajomym i o przesądzie „kamiennym“. Roześmiała się, słuchając moich słów, gdyż określenie nas jako szczęśliwych ludzi jest conajmniej przesadą.

— W chwili, gdy oczekiwaliśmy urodzenia naszego siódmego dziecka byłem zwykłym rolnikiem, pracując od rana do wieczora. Co niedzielę szedłem z żoną na Mszę św. do kościoła i niczego nam nie potrzeba było do zupełnego szczęścia. Byłem zupełnie zadowolony z mojej egzystencji, gdyż od wczesnego dzieciństwa przyzwyczaiłem się do pracy na roli. Dnia 15 września 1927 ożeniłem się z moją obecną żoną Francuzką, Elzirą Legros. Miałem wtedy 2000 dolarów w banku, a pozatem fermę, którą pozostawił mi ojciec, o objętości 300 akrów, jak również nowoczesne maszyny rolnicze i wcale porządną oborę. Żona moja sama szyła sukienki dla naszych córeczek Róży i Teresy, a również ubrania dla mnie samego. W chwilach wolnych czytaliśmy książki francuskie, przyczem muszę nadmienić, że żona moja zna tylko język francuski. Wieczorem, siedząc przy kominku, skoro dzieci poszły spać, zastanawialiśmy się jak niemi pokierujemy. Mieliśmy wtedy 7-letniego Ernesta, 6-letnią Różę, 5-letnią Teresę i 2-letniego Daniela, oraz najmłodszą pociechę, Paulinę.

I oto pewnego dnia urodziły się pięcioraczki. Nie mieliśmy ani dosyć pieniędzy, ani też nie poczyniliśmy żadnych przygotowań na przypęcie tylu nowych... gości. — Wkrótce pośpieszył nam z pomocą Czerwony Krzyż i różne szpitale, które umożliwiły dzieciom przetrwanie kilku pierwszych najcięższych miesięcy.

Gdy jednak pięcioraczki miały już dwa miesiące zgłosił się do nas reprezentant Czerwonego Krzyża, oświadczając, że dla dobra dzieci prosi o powierzenie ich na 2 lata Czerw. Krzyżowi. Zgodziliśmy się na to, zresztą bez entuzjazmu, przypuszczając, że po upływie wspomnianego czasu oddadzą nam nasze dzieci. Lecz czekał nas zawód: dnia 17 marca 1935 rząd prowincji Ontario ogłosił, że opiekunem dziewczynek na przeciąg 8 lat będzie rząd kanadyjski. Przez dłuższy czas żona moja nie chciała wierzyć, że dzieci jej stoją pod bezpośrednią opieką króla. Nie wiem, jaki jest powód tej nieludzkiej decyzji. Dzieci nasze żyją wprawdzie w niedalekiej od nas odległości, ale nie z nami. Znajdują się w szpitalu za szklaną szybą i służą jako rozrywka dla turystów.

— Może będzie pan zdania tego lekarza, — zwraca się do swego interlokutora ojciec pięcioraczków M. O. Dionne, — który oświadczył mi, że powinniśmy być bardzo zadowoleni, widząc, ile nasze córeczki „zarabiają“ pieniędzy. Dodał następnie, że doszedłszy do 18 lat zbiorą niebyle jaką fortunę, gdyż stanowić będą w dalszym ciągu żywe curiosum. Od tego czasu ciągle narażeni jesteśmy na ciekawość i niedyskrecję turystów, którzy zatruwają nam życie. Oświadczono nam, że na miejscu, w którem urodziły się pięcioraczki dokonano najwięcej zdjęć z całej Ameryki. Wystarczy, abyśmy się pokazali gdziekolwiek poza domem, aby już czatował na nas niedyskretny reporter. Nie brakuje oczywiście licznych propozycyj kupieckich, które otrzymujemy ze wszystkich stron.

— Jak pan widzi, — kończy swoje wyznania Dionne, — nasze „szczęście“ ma swoje ciemne strony, a ingerencja w nasze życie różnych ludzi jest tem przykrzejsza, że dotyczy naszych ukochanych dzieci.



Na prawo: Rodzice pięcioraczków M. O. Dionne'owie.



Koło, z pomocą którego szlifuje się przedmioty szklane.









Od lewej: Typ robotnika z huty szklanej. — Robotnicy nadają masie szklanej użytkową postać. — Z tego pieca wyjmuje się płynne szkło, gotowe do obróbki. — Płomienie buchają z roztopionej masy...

Piękno w szkle zaklęte

Znaną jest legenda o wynalazku szkła przez Fenicjan. Fenicjanie podobno użyli raz przypadkowo bloków sody krystalicznej do budowy paleniska kuchennego. Soda pojawia się w okolicach Fenicji jako minerał rodzimy. jest to t. zw. soda naturalna. Ziemia, na której wspomniane palenisko ustawiono, była piaszczysta. I oto po rozpaleniu ogniska, a raczej po jego zgaszeniu, zauważyli Fenicjanie jakieś przeźroczyste grudy o wysokim połysku i twardości. Miało to być pierwsze szkło sfabrykowane bezwiednie przez człowieka. Ale bajeczka ta. opowiedziana przez Pliniusza, słynnego przyrodnika łacińskiego, nie wydaje się prawdopodobną. Pomijając już to, że brak w tem zestawieniu surowców, a mianowicie obok piasku i sody jeszcze wapna koniecznego do wyrobu szkła, to chyba temperatura zwyczajnego paleniska jest jednak zbyt niska, aby można było w nim szkło topić. Rzymianie więc najprawdopodobniej niesłusznie przypisali Fenicjanom ten wynalazek. Coprawda w starożytności siedzibą przemysłu szklanego były przedewszystkiem miasta Sydon i Tyr, ale najprawdopodobniej pochodzi wynalazek ten z Egiptu. Najstarszy przedmiot szklany, który znamy, pochodzi właśnie stamtąd, z okresu pierwszej dynastji, t. j. z około 3300 lat przed Chr. Przedmiot ten wygląda jak czarna perła, umieszczona na drewnianej skrzyneczce. Drugi zkolei najstarszy przedmiot szklany pochodzi z czasów króla Antefa IV. (około 2100 przed Chr.). Jest to amulet ze szkła niebieskiego, z wyrytem imieniem tego monarchy. Egipcjanie zapewne odkryli szkło przy sposobności wytapiania metali z rud. Powstają przytem jak wiadomo żużle o wyglądzie szklistym. Za czasów rzymskich, a zwłaszcza za Augusta, egipskie szkło z Aleksandrji było cenione na równi z klejnotami. Potem sami Rzymianie nauczyli się już tak fabrykować szkło.



W kole: Po licznych fazach, przez które przechodzi szkło, otrzymuje ono ostateczną swą postać jako przedmiot użytkowy.

że stało się ono pospolitem i straciło swój dawny walor. Pewien cesarz rzymski w wieku III p. n. Chr. znowu wprowadził na swym dworze nakrycia stołowe ze złota, zamiast ze szkła.

Bizancjum, Wenecja i Murano, oto miasta, w których wyrabiano najpiękniejsze szkła w wiekach średnich i w pierwszych czasach okresu nowoczesnego.



Na lewo: Robotnik po założeniu odpowiedniej maski miesza masę szklaną.

Poniżej: Oto olbrzymi piec, w którym topi się szkło.



Stopniowo jednak inne kraje europejskie, a zwłaszcza Czechy, Francja i Anglja zaczęły wytwarzać przedmioty szklane, będące dziełami sztuki stosowanej. Nietylko rozmaite kielichy, tarcze, ozdoby, imitacje drogich kamieni, ale wkońcu także i zwierciadła oraz przedmioty codziennego użytku wytwarzano w tych krajach ze szkła. Dzisiaj hutnictwo szklane stało się jedną z najpoważniejszych gałęzi przemysłu. Szkło odgrywa rolę ogromną w budownictwie, gospodarstwie, a także i w przemyśle. jako składnik aparatury przemysłowej.

W artykule niniejszym chcielibyśmy jednak pomówić nie o tym zwyczajnym szkle, które znamy wszyscy w postaci szyb i zwierciadeł, czy też szklanek i szkiełek, ale o najszlachetniejszych przedstawicielach tego pięknego tworzywa. t. j. o krysztale.

Dokończenie na str. 18-tej.



Na lewo: Waza kryształowa o bogatym wzorze.

Dokończenie ze str. 17-tej.

Szkło i kryształ! Przecież ściśle biorąc, są to dwa sprzeczne zupełnie pojęcia. W nauce uważa się przecież dzisiaj szkło jako typowy przykład ciała niekrystalicznego. Czy uwierzylibyście temu, że szkło jest właściwie cieczą, tylko niesłychanie gęstą, o cząsteczkach tak leniwych i opornych, że zatraciły prawie-że zupełnie swoją ruchliwość, charakterystyczną dla cieczy. Zauważyliście przecież, że ciecze bywają nie wszystkie jednakowo ruchliwe, czyli jak się to wyraża bardziej naukowo, „lepkie". Syrup z cukru jest bardziej lepki, aniżeli woda. Gęsty olej jest bardziej lepki, czyli mniej ruchliwy, aniżeli benzyna. Otóż wyższym jeszcze stopniem takiej mało ruchliwej cieczy jest szkło, które nie zdążyło jakgdyby skrystalizować się przy ochładzaniu stopu szklanego właśnie z tego powodu, że podczas ochładzania się tego stopu staje się stopniowo za mało ruchliwy, czyli za bardzo „lepki". Jakże więc mogło dojść do tego paradoksu, że szkło nazwano kryształem, kiedy właściwie każde szkło znajduje się dopiero w stanie przed krystalicznym? Nazwa ta przy szkle pochodzi od tego czasu, gdy przekonano się, że zapomocą sztucznych zabiegów, chemicznych i fizycznych, można z masy szklistej otrzymać przedmioty podobne w ukształtowaniu swem do naturalnego t. zw. kryształu górskiego. I rzeczywiście, piękno kryształów szklanych, choćby były one tylko imitacją przyrody i właściwie bezprawnie nosiły nazwę kryształów, jest nieraz tak wielkie, że poprostu wierzyć się nie chce, że jest to dzieło rąk ludzkich.

Nie byle jaką jest historja takiego pięknie rżniętego kielicha kryształowego. Najpierw sam dobór surowców. Już wyżej wspomnieliśmy, że najważniejsze surowce szklane — to wapno, a raczej wapień, piasek, a raczej krzemionka i soda. Te surowce służą jednak do wyrobu zwyczajnego szkła, jak np. na szyby. Do wyrobu t. zw. lekkiego kryształu używa się częściowo potażu zamiast sody, do wyrobu ciężkich kryształów używa się przeważnie potażu i minji ołowianej lub innych tlenków ołowiu, no i oczywiście krzemionki, wzgl. kwarcytu. Surowce w tym wypadku muszą być zupełnie czyste, wolne od żelaza



Mały pomocnik w hucie szklanej.



Arcydzieło sztuki szlifierskiej.

i innych składników, powodujących nieodpowiednie zabarwienie szkła. Takie szkło potasowo-ołowiane jest niemal zupełnie bezbarwne, łatwo topliwe, miękkie, odznacza się pięknym połyskiem i dźwiękiem i bardzo wysokiem załamaniem światła. Niezależnie od tego dodaje się do stopu jeszcze w drobnych ilościach inne składniki, które powodują odbarwienie i klarowanie masy szklanej, np. związków selenu. Gdy już stop jest zupełnie płynny, dodaje się jeszcze jakiś składnik w celu wymieszania się całej masy, aby była jednostajna i aby w gotowem szkle nie powstawały smugi i zmętnienia. Doskonałym środkiem jest zwyczajny kartofel. Rzuca się kartofel do roztopionej masy szklanej i wtedy wywiązują się tak gwałtownie gazy, że cała masa przemiesza się najdokładniej. Dawniej zamiast tego używało się związków arsenu. Dzisiaj tego zaniechano. Gdy już masa jest roztopiona i jednostajnie wymieszana (trwa to około 12 do 30 godzin, zależnie od rodzaju szkła), pozwala się masie cokolwiek ostygnąć, aby szkło stało się mniej płynne. Gdy to już nastąpiło, zaczyna się właściwa praca hutników, wydmuchujących w cudowny wprost sposób, przy użyciu lub bez użycia form, różnego rodzaju wydrążone przedmioty szklane. Płuca takiego hutnika i jego piszczałka — to jakgdyby zespół instrumentów, przy pomocy których człowiek nadaje bezkształtnej masie jej piętno indywidualne.

Następuje potem proces niemniej ważny, od którego zależy w znacznej mierze wynik całej pracy. Jest to odpowiednio prowadzony, w specjalnych piecach, proces stygnięcia. Temperaturę obniża się stopniowo, aby w gotowem szkle było jak najmniej napięcia i aby nie było ono łamliwe i kruche.

Nadanie właściwego wyglądu kryształom — to już praca szlifierzy. Przy pomocy szybko wirującej tarczy nadaje się okrągłym kształtom surowego przedmiotu wygląd bardziej kanciasty. Wytwarza się na nim płaszczyzny, załamujące się w ostrych linjach, ryje się i rżnie w szkle rowki, nieraz bardzo głębokie. Dokonuje się tego najpierw zapomocą tarcz żelaznych, a potem na czysto zapomocą tarcz miedzianych. Używa się pozatem jeszcze piasku lub szmergla coraz bardziej miałkiego. Wkońcu poleruje się zapomocą tarcz drewnianych i odpowiednich proszków polerowniczych.

W czasach nowszych zauważyliśmy, że kryształy stały się znacznie tańsze. Tajemnica tego polega na pewnym „triku". Oto odrazu wytwarza się surowy przedmiot szlany w formie posiadającej już odpowiednie wypukłości i zagłębienia i dzięki temu oszczędza się bardzo dużo pracy szlifierskiej, gdyż pozostaje tylko usunięcie okrągłości i nierówności ścianek i brzegów przy pomocy tarcz szlifierskich. Na tanich kryształach, jeżeli nie są starannie wykonane, można przeto czasem zauważyć, że w niektórych miejscach ścianki nie są płaskie, tylko pełne, krawędzie nie równe, tylko zakrzywione. Często w drogich kryształach usuwa się tylko zewnętrzną warstwę połyskującą zapomocą wirującej tarczy miedzianej, zwilżanej papką z proszku szmerglowego i oleju. Rozmaite ozdoby na takich kryształach wykonuje wprawny szlifierz odręcznie, posługując się czasami także i diamentem dla wyrycia rozmaitych rysunków i postaci.

Nie sposób tu oczywiście wymienić, choćby pobieżnie, wszystkich sposobów pracy, stosowanych przy fabrykacji najrozmaitszych kryształów, zdobnych nieraz jeszcze w emalje i glazury różnego rodzaju. Technika jest tu tak bogata, obfituje w tyle pomysłów i najrozmaitszych środków (wymieńmy chociażby dodatek złota przy wyrobie szkła rubinowego lub srebra przy wyrobie kryształu żółtego), że w ramach jednego artykułu nie można nawet pobieżnie tej sprawy omówić. Warto jednak jeszcze zaznaczyć, że chociaż dzisiaj wyrób szkła i kryształu traktuje się z punktu widzenia naukowego, to jednak do dziś dnia jeszcze nie umiemy wytwarzać wszystkich rodzajów szkieł ozdobnych, w których wyrobie celowali mieszkańcy Wenecji lub Murano. Możemy dzisiaj tylko podziwiać piękno Aventurinu lub Hematinonu, Filigranu „millefiori" i t. p. gatunków szkieł pompejańskich lub weneckich, które staramy się naśladować. Nie zawsze jednak z pełnem powodzeniem! W niektórych wypadkach, niestety, nić tradycji została przerwana i nie sposób już jej na nowo nawiązać.

Inż. J. A.



Po wielu godzinach pracy powstał piękny kryształowy talerz.

GOSPODA

„Pod złotą kaczką"



Piękny kominek, staroświeckie zydle i dzbany metalowe tworzą stylową całość.

W samem centrum Warszawy, przy placu Marszałka, wyrosła, jakby cudem z zamierzchłych czasów wskrzeszona, staropolska gospoda z XVI wieku. Nad bramą godło: złota kaczka, pod nią dwuwiersz Imć pana Reya: „Kto wejdzie temi wroty, na progu zostawia kłopoty". W wejścia hajduk w żupanie wita gości. Wnętrze, dwie obszerne izby t. zw. mieszczańska i rycerska — to istne muzeum rodzimej sztuki. W pierwszej, mieszczańskiej, skromne zydle i ławy, stoły z białymi, z grabowego drzewa do szorowania blatami: w drugiej rycerskiej paradne fotele, wyścielane aksamitem i obijane skórą, strop belkowany i przyozdobiony polichromją. Na jednej ścianie rozpiera się zasobny kominek, na nim znów cytat z „Żywota człowieka poczciwego" Reya: „Każdego zła myśl ominie, siedząc z czaszą przy kominie".

Na stołach, na półkach, biegnących wzdłuż ścian i w gablotkach stare dzbany, kute w miedzi, świątki, kubki cynowe, misy, stare srebrne łyżki polskie, świeczniki, lichtarze, to znów autentyczne antyki z końca XVI i początku XVII wieku, zebrane z całej Polski przez twórczynię, a zarazem i właścicielkę „Gospody" p. Zofję Arciszewską. Pośród tych cennych zbiorów znajdują się też dwa „białe kruki" w postaci książek kucharskich z końca XVI wieku.



Nawet strój kelnerek gospody „Pod Złotą Kaczką" dostosowany jest do charakteru wnętrz.

Pani Arciszewska — znana malarka i dekoratorka, zajmująca w kulturalnem życiu stolicy poważne miejsce, założycielka popularnego „Sima", placówki na miarę paryskiego Quartier Latin, tym razem w swych twórczych wysiłkach poszła znacznie wyżej, dając dzieło o nieprzeciętnej wartości i artystycznem znaczeniu. — Projekty wnętrza „Gospody" i jej umeblowania wykonał sama p. Arciszewska, ściśle według wzorów danej epoki i materjałów muzealnych. Poza studjami w warszawskiem Muzeum Narodowem spędziła malarka dwa tygodnie w Krakowie na Wawelu, skąd, dzięki życzliwemu stanowisku kustosza, p. Świerza-Zaleskiego, przywiozła przepiękne modele stołów i krzeseł do sali rycerskiej. Wszystko do najdrobniejszych szczegółów obmyślane i przestudjowane z prawdziwem znawstwem i pietyzmem. Nawet kostjumy personelu usługującego stylowo dobrane. Do współpracy zaprosiła p. Arciszewska znawców tej miary, co kustosz p. Stanisław Gebethner, który udzielał swych cennych wskazówek i rad, oraz konserwator p. Bohdan Marconi, który znów czuwał nad wiernością historyczną mebli. Wszystkie meble nie tylko rysunkiem, ale i techniką wykonania odpowiadają charakterowi danej epoki, są bowiem składane zapomocą klinów i dadzą się rozbierać. Wspaniały staropolski kominek zaprojektował arch. Janusz Kierzkowski, polichromję stropu w sali rycerskiej wykonał z mistrzowskiem wyczuciem epoki art. mal. Kazimierz Zielenkiewicz. W ten sposób powstała gospoda, jakby z XVI wieku przeniesiona w dzisiejsze czasy.

Godło jej „Złota kaczka" też sięga swą historją zamierzchłych czasów. Jedna z nielicznych starowarszawskich legend opowiada o królewnie, zaklętej przez czarnoksiężnika w złotą kaczkę, pływającą od wieków po czarnym, głębokim stawie w olbrzymiej jaskini, w lochach podziemnych pałacu książąt Ostrogskich, przy ul. Ordynackiej na rogu Tamki. Była to podobno zemsta czarnoksiężnika za nieodwzajemnioną miłość. Królewna kochała się w pewnym młodym junaku, który postanowił wyswobodzić swą kochaną z niewoli starca. Tyran zgodził się na wydanie złotej kaczki, ale pod warunkiem, że junak wypełni dość ciężkie warunki. Miał otrzymywać dziennie sto talarów i wszystkie je przepijać, byle nigdy nie dać ani grosza biednemu. Długie lata junak dopełniał warunków umowy, aż pewnego razu, tknięty litością, dał po pijanemu grosika staremu żebrakowi. Umowa została niedotrzymana i złota kaczka pływa nadal po czeluściach zaczarowanego stawu pod Warszawą.

Taka krążyła legenda wśród ludu warszawskiego, dając świadectwo dobremu sercu dzielnych junaków. A że nieszczęsny kochanek zaczarowanej królewny pijał i jadał w różnych karczmach i gospodach, tak też tym starodawnym „lokalom rozrywkowym" często dawano godło „Pod Złotą Kaczką".

By zaś tradycji zadość uczynić, pływa sobie złota kczka i przed „Gospodą" p. Arciszewskiej w małej sadzawce. Możeby się i dzisiaj znalazł jakiś dzielny junak, któryby pragnął oswobodzić nieszczęsną królewnę; ale skąd wziąć czarnoksiężnika ze... stoma talarami dziennie?

O.



Ogólny widok „sali mieszczańskiej".



EWA MIEROSZEWSKA

Z wizytą w pałacu »Dziesiątej Muzy«

Gdy pokazano mi na Unter den Linden luksusowy spyder Liljany Harvey, a w najwytworniejszym nocnym lokalu Berlina „Quartier Latin" ujrzałam Renatę Müller, otuloną we wspaniałą pelerynę ze srebrnych lisów — westchnęłam z podziwem, pomieszanym z zazdrością: „niemasz to, jak być gwiazdą filmową!". Towarzysz mój, pracujący w atelier filmowem, jako doradca techniczny, uśmiechnął się nieco sceptycznie:

— Tak pani sądzi? Niech pani przyjedzie jutro do mnie do atelier przy Cicerostrasse. Gdy przyjrzy się pani bliżej życiu tych t. zw. wybrańców losu — gdy ujrzy ich pani przy pracy, zmieni pani zdanie.

Zgodziłam się bez wahania. Bądź co bądź nie często trafia się okazja zajrzenia za kulisy tak bardzo fascynującego świata, jakiem jest królestwo dziesiątej muzy. Nazajutrz, punktualnie o czwartej popołudniu, znalazłam się u bram tego zaklętego sezamu, u których oczekiwał mnie mój znajomy.

— Pokażę pani wszystko. Zapowiedziałem panią jako „polnische Journalistin" — wszystkie bramy otworzą się przed panią...

Weszliśmy do ogromnej hali, mrocznej, dusznej, napełnionej jakąś dziwną wonią łoju, spalonego kauczuku, farby i lakieru. Przyznam, że ten coctail zapachów uderzył mnie niemile. Rozejrzałem się dokoła. Na prawo ujrzałam wnętrze eleganckiego salonu mód, któremu brakowało dwóch ścian — na lewo ciągnęła się paryska uliczka, ze sklepami o zapuszczonych żaluzjach, z małą werandą jakiegoś „bistro", przed którem stało staromodne auto.

W głębi dojrzałam światła i gwar głosów.

— Podejdźmy bliżej. Tam właśnie nagrywają sceny z Teo Lingem — szepnął mi mój przewodnik.

Fragment jakiegoś gabinetu, obok fragment poczekalni czy przedpokoju. Grupa ludzi w fartuchach lub sportowych koszulach kręci się dokoła jakichś monstrualnych aparatów, lamp, mikrofonów itp. Jakiś jegomość miota się zirytowany, wymachując trzymanym w rękach skryptem — to reżyser. Inny dyryguje mechanikami przy światłach — to kierownik techniczny. W tej chwili reżyser podnosi rękę — robi się cisza — którą przerywa na moment okrzyk: „Aufnahme los!!" — Z głębi wybiega prosto w światła jupiterów Teo Lingen (któż go nie zna z doskonałych wiedeńskich i niemieckich komedyj!?) w zabójczo eleganckim, jasnym garniturze, o twarzy trupio-białej od grubej warstwy blanszu i pudru, o ustach ciemno-karminowanych. Poza tem jest zupełnie podobny do znanej nam jego sylwetki z ekranu — rozśmiesza samem swojem ukazaniem. Teraz nagrywa jakąś małą scenkę z młodziutką debjutantką filmową, p. Gusti Wolff. Ta drobna, blondyneczka, o okrągłej i naiwnej buzi, miała szczęście. Odrazu powierzono jej główną rolę i to z takimi partnerami, jak Lingen i Herman Thimig. Gra trochę nieśmiało, z pewną tremą i bezsprzecznym wdziękiem. Stara się przytem, jak mała dziewczynka. Pomyśleć! Od tej roli zależy jej los: może pojutrze będzie konkurentką ulubienicy Berlina, Liljanki, a może powróci do skromnych ról anonimowych służek dziesiątek Muzy — statystek?!

Tę samą krótką scenę nagrywają pięć razy z rzędu. Reżyser wciąż coś jeszcze poprawia i tłumaczy artystom. Raz światła okazały się wadliwe. Teraz znów Lingen — zdenerwowany ustawicznem powtarzaniem tego samego epizodu — w chwili kiedy po zdjęciach właściwych zdejmują sam dźwięk i mechanik podsuwa mu przed usta mikrofon, biegnąc za nim krok w krok — myli się fatalnie w djalogu, zaczyna powtarzać w kółko to samo zdanie, wkońcu siarczyste przekleństwo przerywa całą scenę. Trzeba zaczynać od początku.

Przed każdem nagrywaniem przyskakują do artystów fryzjerzy, poprawiają każdy włosek w uczesaniu, pudrują zmęczone i zgrzane twarze, szminkują na nowo wargi. Patrzę na nieszczęsne ofiary ze współczuciem. Już nie wydają mi się tak godni zazdrości!

— Czy to zawsze tak bywa? Przecież to potwornie nudne i męczące! — zwracam się do mego towarzysza, korzystając z krótkiej przerwy.

— Ciekawam, ile wynosi jego gaża? — pytam jeszcze.

— Za nagranie jednego filmu otrzymuje 18.000 marek. Nie jest to zresztą wcale tak dużo, jak na gwiazdora tej miary. Lingen jest bardzo skromny w swem życiu prywatnem. Mieszka w małej willi, którą sobie zbudował jako początkujący artysta. Ma żonę i kilkoro dzieci, każdą chwilę, wolną od pracy, poświęca życiu rodzinnemu. Ale tych wolnych chwil coraz mniej — pieniędzy zato coraz więcej. Wyrwórnie berlińskie i wiedeńskie wyrywają go sobie.

Idziemy jeszcze obejrzeć resztę studja. — Pokazują mi dekoracje do poszczególnych epizodów nagrywanego filmu. W wielkiej hali pracują na rusztowaniach robotnicy: to buduje się teatr z częścią widowni, lożami, orkiestrą itd. Każde atelier posiada własne warsztaty: malarnie, stolarnie, ślusarnie itp. Film, obecnie nagrywany, nie należy wcale do specjalnie kosztownych, a jednak koszt wystawy wyniesie około miljona marek.

Pokazują mi jeszcze garderoby artystów. Małe, prymitywnie umeblowane pokoiki, przypominające zakonne cele. Wszystkie jednakie, tylko wizytówki na drzwiach wskazują, do kogo należą. Statyści mają garderoby wspólne — posiadanie własnej, to pasowanie na „rolę".

Prowadzą mnie do kantyny. Przy jednym ze stołów gwarno i wesoło: rój młodych i ładnych kobiet popija „Blümchenkaffee". Są wśród nich prześliczne i młode, zbudowane jak posążki, a jednak muszą się kontentować statystowaniem, podczas kiedy mało efektowna i niezbyt ładna Gusti Wolff gra główną rolę. Rzecz szczęścia i szczęśliwego przypadku. Jeden z pomocników reżysera opowiada mi o początkach karjery Liljany Harvey. Grupa filmowców z Berlina nakręcała jakieś plenery w Swinemünde. Wieczorem po pracy, z nudów poszli obejrzeć miejscowe „variété". W balecie tańczyła szczupła girls o jasnych lokach i twarzy dziecka. Nazajutrz zastąpiła jedną ze statystek w balecie owego filmu. Po paru tygodniach była już berlińską gwiazdą.

Na progu kantyny pojawia się jakiś jegomość o twarzy buldoga. „Alle Damen machen sich fertig!" — pada komenda. Statystki zrywają się posłusznie, pozostawiając niedopitą kawę.

Żegnam się i ja, zadowolona, że udało mi się rzucić okiem za kulisy tego dziwnego świata złudy i cudów, a ciężkiej pracy!

Na prawo: Urocza Hansi Knoteck, artystka ekranu niemieckiego i jej partner Wiktor Staal.



Poniżej: Gusti Wolff, pełna wdzięku artystka berlińska. *Fot. E. Schafranek — Troppau.*





Polscy ułani z 1831 r. w interpretacji niemieckich artystów Wiktora Staala i Hermana Brauna.

Poniżej: Pałacyk Liliany Harvey nad Wannsee.



UŚMIECH GWIAZDY FILMOWEJ


Ursula Grabley

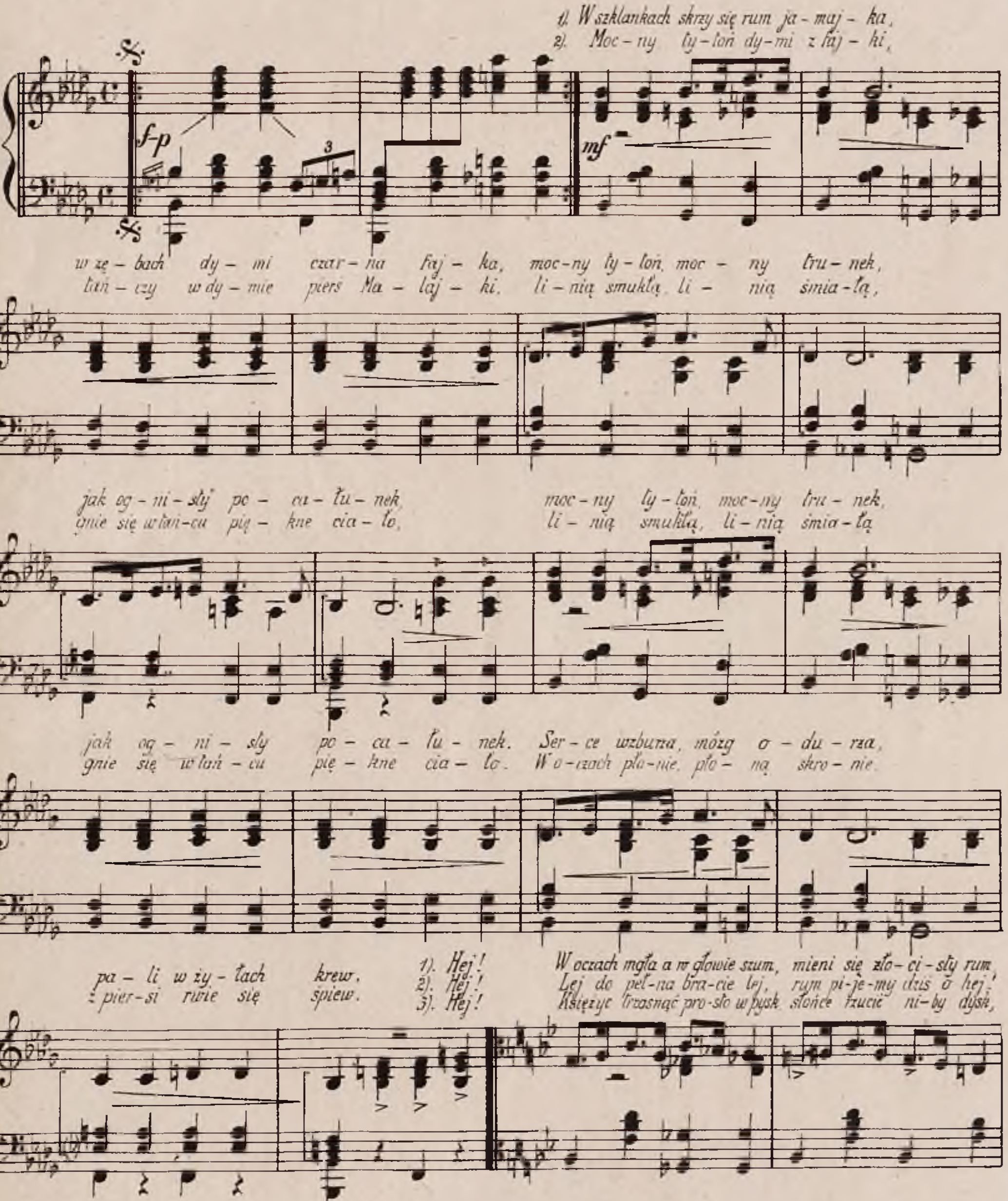
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

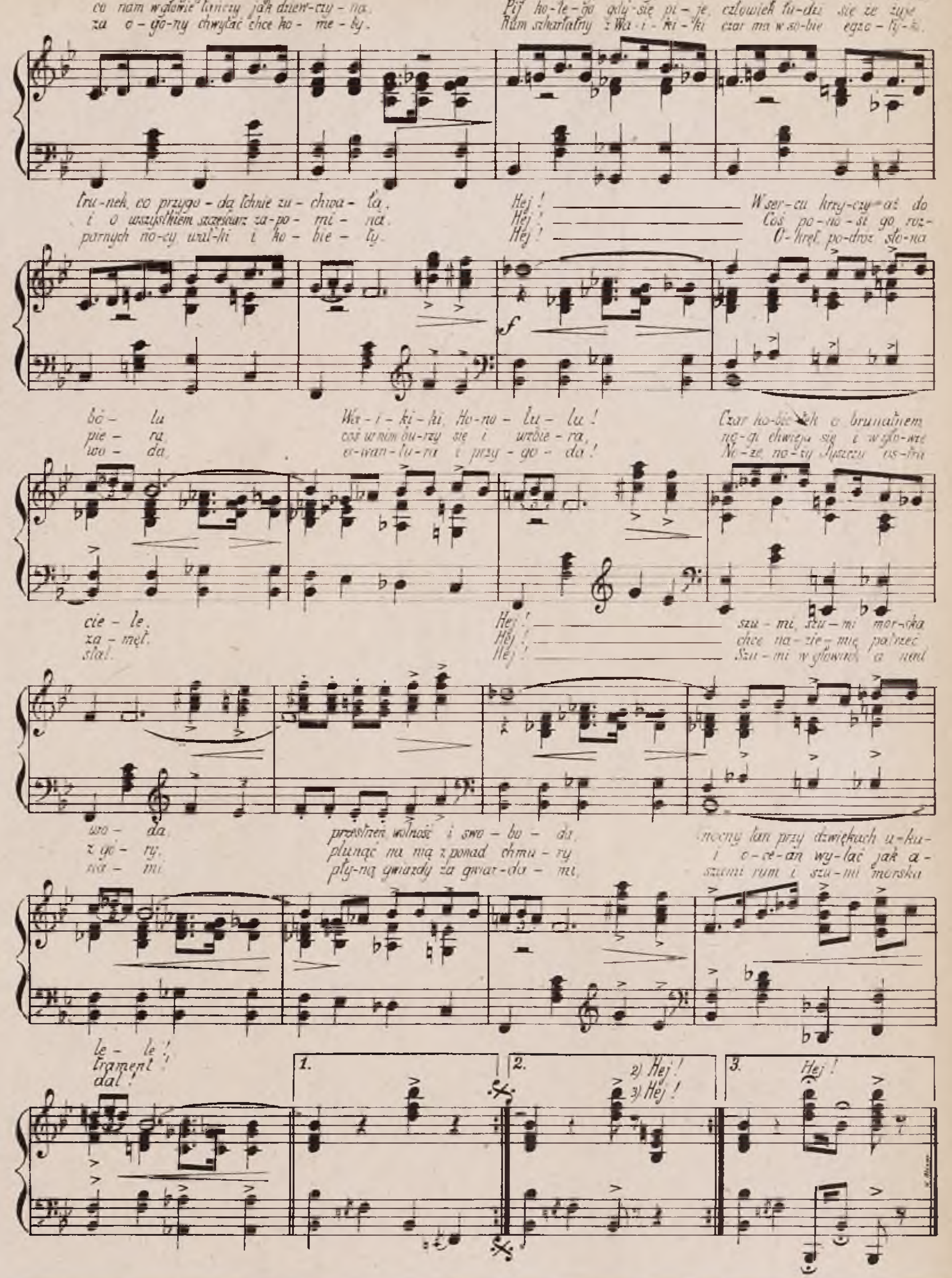
W A I K I K I

FOXTROT-RUMBA

Słowa: HARVEY

Muzyka: ADAM LENCZOWSKI





MIASTO O PÓŁNOCY

JANUSZ MARJA BRZESKI

NOWELA

Wiatr wzmógł się. Ślizga się po szybach, syczy na framugach okien. Zbliża się zmrok. Stukot kół kołysze wagonami. Pociąg pędzi przed siebie w otchłań czyhającej na widnokręgu nocy. Podłużne, falujące kłęby dymu przesłaniają ciemno-czerwone słońce, zawieszone nisko nad usypiającą ziemią. Niebo nabiera już barwy fioletu.

Semafory, zielone i czerwone sygnały, tarcze zegarów na nieznanych stacjach — mijają szybko okna wagonów. 7,40 — 7,56 — 8,15... Godziny biegną w przeciwnym do ekspresu kierunku.

Rozlega się głos gongu. Wzdłuż korytarzy pulmanów idzie chwiejnym krokiem chłopiec w białym uniformie.

— 8,15 — proszę zamawiać kolacje, 8,15 — proszę zamawiać kolacje... — powtarza monotonnym głosem.

Zapalają się lampy w przedziałach. Pociąg wygląda teraz, jak mknąca litanja świateł.

Edward ocknął się. Jego spojrzenie pada najpierw w czarną pustkę okna przetykaną lśniącemi punktami iskier z lokomotywy. Jest zdziwiony, że tak długo spał. Spogląda na zegarek, i zaraz potem słychać na korytarzu głos boy'a.

Edward wstaje i ma ochotę chwycić za metalowe pręty bagażnika, zawisnąć na nich przez chwilę i wyprężyć swe zmęczone bezruchem ciało. Przed lustrem poprawia krawat, potem rozczesuje i układa palcami swą jasno-płową czuprynę. Wyjmuje z kieszeni plik przeczytanych gazet i ciska je na pluszową poduszkę kanapy. Rozgląda się jeszcze po pustym przedziale, liczy wzrokiem walizy stojące na bagażnikach i wychodzi na korytarz.

Właściwie wcale nie jest głodny. Ale podczas kilkudniowej podróży przywykł do nowego rozkładu dnia, do posiłków w restauracji na kołach. Głos zapraszającego do wagonu restauracyjnego boy'a — stał się dla niego ważnym etapem w jego długiej podróży.

Trzymając się drążków biegnących wzdłuż okien idzie w kierunku wozu restauracyjnego. Stoły są nakryte białemi obrusami. Z kuchni dolatują zapachy grzybów i prażonego tłuszczu. Ryszard zajmuje miejsce przy małym stoliku.

— Proszę o zupę z parmezanem, kurczę z rożna... zamawia Ryszard.

Tak bardzo znudziła mu się już samotność trwająca całe lata. Kiedyż to ostatni raz rozmawiał ze znajomymi? Było to zapewne przed trzema miesiącami, gdy urządził pożegnalną kolację na swej farmie. Jak bardzi zazdrościli mu wtedy wszyscy jego podróży do kraju. Ileż kosztowało zabiegów i przygotowań przeprowadzenie tej eskapady.

Myśli o tem wszystkiem Edward dopijając czarną kawę, i jest coraz bardziej niespokojny. Dziwi się nawet sobie poco ruszył się ze swej farmy. Zdaje sobie sprawę, że spowodowała to tęsknota za krajem, którego nie widział bardzo dawno. Ale uzmysławia sobie jednocześnie, że spotkać go może przykrość po przyjeździe do miasta rodzinnego, w którem niema już dziś nikogo. Przeczuwa, że otoczy go pustka gorsza od tej, w jakiej żył dotychczas.

Edward patrzy na zegarek. Jest 10.05, więc za godzinę i pięć minut zobaczy dworzec. Nachyla się do okna chcąc odnaleźć znajome strony, jednak noc jest ciemna i światło z okien oświetla słabą smugą tylko linijki falujących drutów telegraficznych i kłębiący się dym. Wstaje sztywno i wychodzi na korytarz.

Tymczasem zaś koła tłuką się o liczne zwrotnice i wagonem rzuca w prawo i lewo.

* * *

Pociąg minął już przedmieścia i toczy się wolno wśród mgławicy świateł na torach. Z hukiem przetacza się ekspres wśród zabudowań i masztów sygnałowych. Edward jest jakiś podniecony. Zupełnie jednak inaczej niż wtedy, gdy wyjeżdżał po raz pierwszy zagranicę. Pospiesznie wkłada płaszcz, zdejmuje walizy z siatek bagażników i otwiera okno. Wychyla się.

W oddali widać błyszczące tory, powódź świateł na peronach, uwijające się mrowie ludzkie, mrugające, jak dalekie planety lampy. Nad wszystkiem zaś perli się srebrno-różowa łuna miasta.

Edwardowi serce zaczyna mocno bić, gdy pociąg wjeżdża pod trójkątne daszki peronów. Tragarze, urzędnicy kolejowi, podróżni, oczekujący na przyjazd znajomych, ciekawi przejezdni z innych pociągów — przelatują najpierw wzdłuż okien skrzywieni perspektywą. Edward przypatruje się im ciekawie, nieomal wyczekująco, jakby mógł przypuszczać, że spotka wzrokiem znajome twarze.

Koła pociągu hamują gwałtownie z przeciągłym szumem, potem syk wypuszczonego powietrza i wagony opadają wstecz.

— Kraków! Kraków!

* * *

Gdy Edward znalazł się sam w pokoju hotelowym i otworzył okno doleciał go słaby, zamglony szum żyjącego w dole miasta. Każdy odgłos składający się na tą cichą symfonję wydał się Edwardowi obcy i nieznany. Ciepły oddech wiatru owiewał mu twarz. Edward oparł się łokciami o parapet okna.

Tyle razy przechodził tą ulicą, i teraz nie wie nawet jak ona się nazywa. Stara się odgrzebać w pamięci chwile związane z tym małym odcinkiem miasta. Aha, ale oto ten dom naprzeciw. Bywał tam nieraz u swych znajomych. Niejeden miły wieczór spędził w atmosferze spokojnego, pewnego jutra mieszczaństwa.

Edward uśmiecha się do siebie, gdy myśli o swej żakowskiej miłości do młodziutkiej Zosi. Pamięta, że często „gniewali" się na siebie... I naraz uświadamia sobie, że później, o wiele później działy się w tym domu naprzeciw rzeczy o wiele mniej przyjemne. Najpierw...

Cichy terkot dzwonka odrywa Edwarda od okna. Wchodzi pokojówka, by przygotować posłanie i zapytać czy czegoś nie potrzeba. Wreszcie pokrzątawszy się po pokoju wychodzi.

Edward zostaje znów sam w pokoju. Opiera się o okno. Wraca myślą do tego domu naprzeciw. Stara się nawiązać wątek przerwanych obrazów przeszłości. Napróżno. Wzrok przykuwa jasna sylwetka ulicy w dole. Niesforne myśli gonią przechodniów. Wyobraźnia każe dopatrywać się w nich znajomych postaci. Niepokój rośnie. Edward myśli, że to samotność tak mu dokucza, i nie zdaje sobie sprawy, że niepokoi go nieuchwytny, ledwo słyszalny rytm miasta, który dociera do jego podświadomości wszystkiemi nerwami.

Jeszcze jedno spojrzenie wdół. Edward podchodzi do lustra, potem z kufra wyciąga ciemne ubranie i z zadowoleniem spostrzega, że nie pomięło się w podróży.

Wreszcie jest gotów. Wkłada kapelusz, otwiera drzwi i gasi światło. W tej chwili zegary na dalekich wierzach poważnie wydrwaniają północ. Drzwi za Edwardem zamykają się cicho.

* * *

Mijają minuty. Edward błądzi ulicami. Wydostaje się na przedmieścia, zanurza się w ciasne stare uliczki bez nazw. Snuje się wśród mglistych świateł, różowych okienek, przytulonych do muru sylwetek. Słyszy szepty ludzi bez twarzy, dalekie nawoływania. Wyboistym brukiem przebiega kot.

Wraca znów do centrum . Reklamy przygasły i noc już nie jest tak kolorowa. Słychać klaskanie kopyt końskich o asfalt i głośny śmiech z bocznej uliczki. Wkoło sterczą ku górze skostniałe w bezruchu gotyki osmolone kadzidłem. Zastygłe w modlitewnej pozie, czają się za węgłami i u portyków — odwieczne postaci świętych.

Edward czuje, jak bardzo jest zmęczony. Wycieńczyła go ta włóczęga i oderwana samotność wśród ludzkiego porozumienia i konszachtów płci! Chciałby odezwać się do kogoś, do kogoś takiego, kogo nie musiałby okłamywać, przed kim nie trzebaby „udawać". Pragnie spotkania bez zdawkowych uprzejmości i niedomówień. Wie, że to jest nieosiągalne czasem nawet w swoim kole, więc pragnie przynajmniej widoku ludzi.

* * *

Edward oddaje kapelusz w garderobie i znika w otwartych drzwiach dancingu. Idzie przed siebie zapatrzony w roześmiany tłum. Nie zwraca uwagi na kelnerów, którzy proszą go do stolika. Mija całą salę, okrąża ją, zatrzymuje się przy barze. Wypija jednym chaustem podany kieliszek wódki. Widzi, że obok wolne jest krzesełko, więc siada i odwrócony plecami do barmana zamawia jeszcze jedną wódkę.

Tymczasem muzyka ucichła, a światło przybiera barwę jasno-kremową i spływa miękkiemi kaskadami z pod sufitu. Słychać werbel i zaraz potem zapowiedź występu. Kremowe kaskady przygasają, na parkiecie ukazuje się czerwony krąg.

Właśnie akrobaci wykonywali piruety w powietrzu, gdy obok Edwarda, przy filarze stanęła jakaś dziewczyna.

— Oto twoje miejsce Elzo, gdacze w stronę dziewczyny okrągła blondynka siedząca przy nienakrytym stoliku.

— Dzięki, więcej zobaczę stojąc, — pada odpowiedź.

Edward obserwuje stojącą. Jej profil rysuje się biało na tle różowego półmroku. Cechuje go spokój. Jasne oczy patrzą szeroko rozwarte na parkiet. Miedziane włosy spływają na kark i łagoną falą opierają się na chłopięcych ramionach.

— Kto to jest? — pyta szeptem barmana.

— Elza, nasza fordanserka. — Barman staje się rozmowny i prawie poufały. Nie wiem jak dawno pracuje w dancingu, ale zauważyłem, że nie lubi pijanych i głośno śmiejących się... Zdaje się jest inteligentna i pochodzi z „dobrego domu"...

Występ skończył się, i Elza siada przy stoliku fordanserek. Opiera brodę na swych ładnych, białych dłoniach i rozmawia z dziewczętami, których jest tam teraz kilka.

W pierwszej chwili Edward chce zatańczyć z Elzą, ale przypomina sobie, że odwykł od froterowanych posadzek i że nie potrafiłby zrobić jednego pas. Postanawia więc czekać. Tymczasem Elza tańczy wciąż z kim innym. Edward patrzy zazdrośnie jak wiruje w objęciach mężczyzn.

Słychać tusz. Elza wstaje od stolika, zbliża się ku Edwardowi i przystaje obok filara. Chowa chusteczkę do torebki, i właśnie w tej chwili potrąca go ramieniem. Jej wargi rozchylają się miękko, mówi: przepraszam. Ich oczy spotykają się po raz pierwszy.

Źrenice Edwarda są zaciekawione i patrzą jasno, przyjaźnie, wyczekująco. Są one niepokojące i lekko zamglone żarem niejasnych tęsknot. Elza przysłania rzęsami swe oczy i chce odwrócić głowę, jednak zaciekawienie każe jej jeszcze przez długą chwilę obserwować treść oczu mężczyzny. To trwa parę sekund, a Elza czuje jak rośnie jej niepokój. Wkońcu zarumieniona lekko i podniecona odwraca głowę, udając, że interesuje się występami imitatora.

— Jaka pani śliczna — szepcze Edward, nachylając się ku dziewczynie.

Ona odwraca się ku niemu, kładzie palec na ustach, poczem znów obserwuje parkiet. Rumiane zakłopotanie maluje się na jej twarzy. Elza wie, że jest speszona — i to ją jeszcze bardziej obezwładnia. Zastanawia się dlaczego się tak zachowuje i nie znajduje usprawiedliwienia. Jest już dość długo w dancingu aby przyzwyczaić się do męskich umizgów. Powoli jednak uświadamia sobie, że w oczach tego obcego, opalonego mężczyzny dojrzała coś, czego dotąd nie zauważyła u ludzi w dancingu; coś, czego nie potrafiła nazwać.

Występ skończył się. na sali zapalają się czerwone światła. W tej chwili Elza, która ma już wrócić do swego stolika — obraca się ku Edwardowi, spogląda na niego przez chwilę, jakby chciała się upewnić, czy jej wrażenie z przed chwili nie było złudzeniem i mówi cicho:

— Dziękuję panu za to, co pan powiedział. To nie był chyba komplement, dodaje zalotnie i chce odejść w chwili, gdy proszą ją o taniec.

Elza jest niezdecydowana. Wkońcu odmawia i spogląda na Edwarda. Wdzięczność promieniuje z całej jego postaci, co śmieszy Elzę najpierw, ale w chwilę potem ogarnia ją niewytłómaczone ciepło.

— Chciałbym z panią porozmawiać i być blisko niej, ale niestety nie potrafię tańczyć. Po chwili zaś dodaje. — A pani pewno bardzo lubi taniec i będzie wolała odejść...

Elza przeczy ruchem głowy i dziwi się temu wielkiemu chłopcu. Gdzież on mógł przebywać, że nie nauczono go tańczyć i skąd wziął się tu w dancingu.

Edward wyciąga do dziewczyny swą rękę. Ona przyjmuje ją uściskiem.

— Nazywają mnie Elza, albo Ela — jeśli pan woli...

— Edward Rychter. Co zrobimy teraz z sobą? Czy pozostaniemy przy barze?

— Jeśli pan ma ochotę...

Edward rozgląda się wkoło i w rogu dostrzega mały wolny stolik. Bierze Elzę za rękę i prowadzi ją, jakby była małą dziewczynką.

Siadają. Edward staje się gospodarzem. Woła kelnera i podaje kartę Elzie.

— Może pani co zje — pyta, może razem co zjemy — poprawia się. Niech pani coś doradzi. Najlepiej zamówmy całą masę jedzenia i coś do picia, żeby sobie później nie przeszkadzać...

Kelner odchodzi. Elza przypatruje się swemu nowemu znajomemu. Co wieczór prawie zapraszano ją do stolika, co wieczór spotykała wielu różnych mężczyzn. Wszyscy zmierzali do jednego celu. Musiała Elza lawirować, mieć się na baczności, uczyć się strategji kabaretowej. Przyzwyczaiła się czuwać nad sobą i być ostrożną. A tu naraz w obecności tego nowego nieznajomego czuje się zupełnie bezpieczną. Nie obawia się zasadzki. Dlatego może Elza jest inna, niepodobna do siebie z wczoraj i dawnych dni.

Stół jest pełen talerzyków, salaterek, sosjerek, kieliszków.

— Może napijemy się...

Przez chwilę jedzą w milczeniu Wreszcie Edward odzywa się z uśmiechem:

— Zaraz wszystko inaczej smakuje. Teraz dopiero czuję jak bardzo jestem głodny. Gdy się jest samemu, nawet do jedzenia nie ma się ochoty.

Oczy Elzy dziwią się.

— Jestem właścicielem farmy. W moje strony nie przyjeżdżają znajomi. Ci zaś, których pozostawiłem w Polsce rozproszyli się po świecie, inni wymarli. Pozostałem sam. Gdyby nie to, że siedzę teraz z panią, nie wiedziałbym poco przyjechałem tu...

— Robi pan wrażenie, jakby się pan przyzwyczaił do tego stanu rzeczy.

— Tak bardzo cieszą się, że pani chce mi wynagrodzić te puste dni...

— Czy kilka chwil może zdziałać tak wiele?

Zwolna sala dancingowa, ludzie, i to wszystko, co dzieje się wkoło zaczyna zatracać dla Edwarda swe kształty i rację bytu. Ta kobieta siedząca naprzeciw odurza go swym sposobem odnoszenia się do jego spraw. Już w kilka chwil po poznaniu ma wrażenie, jakby ją znał dobrze, jakby istniała od dawna w jego myślach. Przypatruje się jej w milczeniu. Elza odczuwa wzrok mężczyzny.

— Dlaczego pan mnie tak obserwuje?

— Aby znaleźć jak najwięcej pochwał... i pani wie o tem...

— Czy uwierzyć panu?

— Należy ufać przyjaciołom.

— Od kiedy jestem nim, lub mam zostać?

— Nie naznaczajmy sobie terminów i godzin, bo mogą stać się jarzmem.

— To brzmi poetycznie...

— Ta forma narzuciła się sama, może dla usprawiedliwienia godziny...

Nie zauważyli nawet, że gwar wkoło ucichł i że sala opustoszała. Rozmawiają nachyleni ku sobie poprzez stół, szepcząc słowa spływając jak z różańca. Edward czuje się podnieconym.

Elza prosi go by mówił, a on opowiada o swej przeszłości. Czasem żali się jak mały chłopiec, to znów cieszą go barwne obrazy przyrody na jego farmie. Czy Edward wróci do Afryki? Tak, niedługo trzeba będzie spakować kufry. Jasne oczy mężczyzny ciemnieją, stają się twarde. Dziewczyna kładzie swą dłoń na ręku Edwarda i bada ten cień niebieskich źrenic. Edward woła kelnera.

— Proszę nalać kieliszki — mówi.

* * *

Służba zaczęła zbierać obrusy ze stołów. Światła przyciemniały, jakby były gwiazdami, które znikają wraz ze zbliżającym się dniem. Pianista uderza w klawisze, by zapełnić pustkę tego opuszczonego lokalu.

— Elzo, oto kończy się coś, co jeszcze się nie rozpoczęło. Wydaje mi się, że jutro już ma nastąpić mój wyjazd. Jaka szkoda Elzo...

Elza nie odpowiada. Patrzy pochmurnie przed siebie. Żałuje teraz, że przyszedł ten miły wieczór, który tak dobrze na nią podziałał. Widzi jak Edward w milczeniu reguluje rachunek i rzuca napiwek kelnerowi. Wie, że ten mężczyzna unika jej wzroku, i jest przygnębiony, że znajdzie się znów sam.

— Jakie to dziwne — myśli Elza, że ci silni, niczego się nie obawiający mężczyźni — szukają tak często otuchy i oparcia właśnie u kobiet...

Siedzą w milczeniu przy stole. Wreszcie Edward:

— Jest pani już bardzo zmęczona — Elzo... Trzeba będzie podziękować za to, co uczyniła pani dla mnie, i pójść sobie.

— Ależ nie — szepcze Elza, jeszcze niech pan nie odchodzi, poczem dodaje: — Przecież nie możemy się tak rozstać...

Dziewczyna jest zdenerwowana, nie chce, aby to, co powie było źle zrozumiane. Gmatwa się:

— Tak było miło w pana towarzystwie, że chciałabym się panu odwdzięczyć. Pan jest zawsze sam, mówiłeś o tem Edwardzie... może chciałbyś pójść do mego mieszkania. Porozmawiamy jeszcze. Już ja się wszystkiem żajmę, z pewnością będziesz miał ochotę napić się jeszcze czegoś...

Elza rumieni się. Wie, że wszystko to wygląda bardzo niejasno. Chciała jeszcze coś dodać na usprawiedliwienie tej prostej, a tak skomplikowanej wyprawy, ale milczy i pozwala Edwardowi uściskać swe ręce w podzięce.

* * *

Jest to taki sobie pokoik. Prosty i cichy, wciśnięty w sam koniec mieszkania. Okna przysłonięte ciężkiemi firankami i kotarami nie wpuszczają dnia. Edward wiesza płaszcz na wieszaku i siada w fotelu. Elza krząta się wkoło. Już na stole są kieliszki i ładnie ułożone owoce. Dziewczyna rozpakowuje butelkę koniaku i siada do stołu.

— Dlaczego pani mnie zaprosiła do siebie — pyta Edward.

— Bo nie chciałam by został pan sam... i może dlatego, że i ja bałam się samotności...

— Czy mój przykład był przyczyną tego strachu?

— Będąc samemu, myśli się o różnych rzeczach. Ja musiałabym myśleć o tobie Edwardzie... A wolałam być z tobą i patrzeć na ciebie...

— Mówisz niebezpieczne rzeczy Elzo...

— Tembardziej niebezpieczne, że ty ich słuchasz.

Obydwoje śmieją się. Elza bierze poduszkę z kanapy, kładzie ją na podłodze obok fotelu Edwarda i siada na niej.

— Jestem taki rozleniwiony Elzo, że chyba nie wyniosę się stąd nigdy...

— Czy zechciałbyś zostać tu także w dzień Edwardzie?...

— Wyobrażam sobie, że dni, które przychodzą po takiej nocy są bardzo piękne...

Wypijają koniak. Edward opiera głowę na poręczy fotela i zapala papierosa. Prosi Elzy by mu opowiedziała o sobie. Tak mija czas nie pilnowany przez nikogo. Edward jest senny i rozleniwiony. Godzi się na nalegania Elzy, kładzie się na kanapie i słucha jej głosu.

* * *

Obudził się. W pierwszej chwili nie wie, gdzie się znajduje. W pokoju panuje szary mrok. Rozgląda się wkoło i naraz przypomina sobie poprzednią noc, włóczęgę po mieście, Elzę, poznanie. — Podnosi się i widzi puste łóżko pod ścianą. Kładzie się napowrót. Jest przykryty kocem, obok na krzesełku stoi szklanka mleka.

Dokończenie na str. 31-ej.

Gentleman pali papierosa...





Nie wszyscy mężczyźni umieją palić papierosa.... Aby ta czynność, którą wykonujemy co dnia kilkadziesiąt razy, wyglądała estetycznie, koniecznem jest poświęcenie jej daleko więcej uwagi, niż to się zazwyczaj dzieje. W czasach powojennych, gdy ogólny poziom kulturalny znacznie się obniżył, a t. zw. manjery jednostek jakże często muszą razić ludzi o wyrobionej estetyce, także i sposób palenia papierosa znacznie odbiega od form dawniej powszechnie za eleganckie uznawanych. Zamieszczone na tej stronie zdjęcia zobrazowują styl, jakiego chętnie trzyma się elegancki mężczyzna, bacząc, by i sam sposób palenia papierosa nadawał całemu jego exterieur odpowiedni wyraz. Nie każdemu jest wiadomem, że aby osiągnąć zupełną harmonję w połączeniu wszystkich akcesoryj, używanych przez mężczyznę, trzeba zwrócić uwagę również i na wygląd zewnętrzny zwijki do papierosa, którą tak często trzymamy w ręce i która zdobi wnętrze naszej papierośnicy. Na rynku krajowym mało jest fabrykatów któreby, odpowiedziały temu zadaniu i dlatego z łatwością przyjdzie nam je wyliczyć. Morwitan, Bon-Ton, Blue Cork, Herbewo korkowe i Gold Tipped — oto nazwy zwijek. najbardziej odpowiednich dla każdego eleganckiego mężczyzny.

Brummell.



WSZYSTKIE ZDJĘCIA: WILLINGER WIEDEŃ



PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie IV.

Nie zawsze zasada: Dlaczego tak niewygodnie, kiedy można w inny sposób znacznie łatwiej poruszać się w życiu! — daje drogie Czytelniczki pożądane rezultaty. Jakże często bowiem tylko przez samozaparcie się możemy osiągnąć zamierzony cel, jakże często przez chwilową nawet przykrość dochodzimy potem do prawdziwej przyjemności!

Sukcesem, jeśli chodzi o naszą poranną gimnastykę, nazwiemy osiągnięcie pięknych kształtów i zdrowia, co może nastąpić tylko na skutek serjo traktowanego i konsekwentnego treningu. Podając dziś nasze czwarte zrzędu ćwiczenie, zaznaczamy, że dotyczy ono błędów w trzymaniu się (skrzywienia kręgosłupa). Z pozycji pierwszej (patrz fotografja) wychodząc, rozprostowujemy ciało nasze wprzód, przyczem nogi od stóp do kolan pozostają nieruchomo na ziemi. To samo ćwiczenie wykonujemy w odwrotnym kierunku. Druga pozycja (patrz fotografja) wymaga już większego wysiłku. Przybrawszy ją, posuwamy się na rękach w kierunku stóp tam i nazad, przyczem stopy pozostają nieruchomo na jednem miejscu, a kolana zupełnie wyprostowane. Cierpliwości! a ćwiczenia przyniosą świetne rezultaty.



Pozycja pierwsza.



Pozycja druga.

ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ.

Nowe fasony letnich bucików



W okresie letnim biały bucik — bez względu na to, czy jest zrobiony z płótna, czy ze skóry, lub wkońcu czy posiada bronzowe obkłady, czy też noszony jest bez nich — dawno już przestał być w garderobie dobrze ubranego mężczyzny czemś luksusowem i synonimem przesadnej elegancji. Kto bowiem w lecie uznaje materjały utrzymane tylko w jasnych odcieniach, ten respektując naturalną harmonję w ogólnym wyglądzie ubrania, nie może w żadnym wypadku zrezygnować z białych, lub kombinowanych biało-bronzowych bucików. Przy noszeniu ich powstaje pytanie: Czy można je używać tylko nad morzem, czy także i w mieście? Dobrze ubrany mężczyzna znajdzie łatwą odpowiedź: Unikać za wszelką cenę przesady! Nad morzem kombinowane biało-bronzowe buciki nie będą razić nawet wieczór — w mieście nadają się wyłącznie do noszenia podczas dnia. **Brummell.**



ŻYCIE ARTYSTYCZNE

„BOLESŁAW ŚMIAŁY" W TEATRZE KRAKOWSKIM.



Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie wznowił, po 20 latach niegrania, w świetnej reżyserji dyr. Karola Frycza arcydzieło dramatyczne Stanisława Wyspiańskiego „Bolesław Śmiały". Reżyser zachował wzorowo wspaniałą incenizację, oprawę malarską i kostjumową, stworzoną przez genjalnego poetę w czasie prapremjery krakowskiej. Zdjęcie nasze przedstawia scenę między Bolesławem Śmiałym (W. Nowakowski) a Krasawicą (T. Suchecka).

Fot. „As"

„JUTRO NIEDZIELA" NA SCENIE POZNAŃSKIEJ.



Na scenie Teatru Polskiego ukazała się ostatnio sztuka Adlera i Perutza w tłum. Kleszczyńskiego „Jutro niedziela", której świetna obsada w osobach Bronisława Dąbrowskiego (kupiec Hoeffner) i Elżbiety Łabuńskiej (Hanna) oraz wysoce artystyczna reżyserja Dąbrowskiego, zapewniły wielkie powodzenie. Na naszym zdjęciu para czołowych odtwórców tej sztuki: E. Łabuńska i B. Dąbrowski.

Fot. B. Cichosz — Poznań.

Z WYSTAWY DZIEŁ HANEMANA.



Znany pejsażysta zakopiański Maks Haneman urządził ostatnio zbiorową wystawę w Łodzi, spotykając się tam z wielkim sukcesem artystycznym. Haneman od wielu lat zajmuje się malarstwem pejsażów tatrzańskich zdobywając w tym kierunku poważną rutyne. Na zdjęciu: „Zielony Staw Gąsienicowy", ciekawe studjum natury o dużej ekspresji

PROKOPIENI ŻEGNA KRAJ...



Paweł Prokopieni wystąpił ostatnio z kilkoma koncertami w Wilnie i w Warszawie, zyskując wszędzie niekłamane uznanie publiczności. Dochód z licznych koncertów przeznaczył Prokopieni na cele społeczne i dobroczynne, jak L. O. P. P., F. O. N., Rodzinę Policyjną i Rodz. Wojsk.

Fot. W. Dobrowolski — Wilno.

SUKCES „TEATRU 8.15" W WARSZAWIE.





Warszawski Teatr 8.15 gra z dużem powodzeniem melodyjną operetkę Abrahama „Wiktorja i jej huzar", w której główną rolę Wiktorji odtwarza ulubienica publiczności, Mary Didur-Załuska. Przemiłą parą wodewilistów jest Loda Halama i Rakowiecki, ponadto główne role grają: Nina Czerska, Witold Conti, Jerzy Olgierd i świetny komik Walter. Na naszych zdjęciach (od lewej) Mary Didur-Załuska i Jerzy Olgierd, oraz Loda Halama i Zbigniew Rakowiecki.

SUKNIE w STYLU WALCA



Nikt napewno nie przypuszczał, że tegoroczne lato zacznie się od pierwszych dni maja, którego promienne słońce zesłało na ziemię lipcowe żary. Niemniej jednak, jakby w przeczuciu długiej serji upalnych dni, tworzono modę letnią tak eteryczną, zwiewną, lekką, że owe sukienki z gazy, koronek, czy organdi, same przez się unosić się zdają nad ziemią.







Powyżej: Poematy z gazy i koronki na letni karnawał. Tualeta z lewej strony przypomina styl rokokowy bogactwem rysz i falbanek, tualeta z prawej strony ma charakter nowoczesny, stanowiąc połączenie fraczka z kreacją balową.

Na lewo: Tualeta popołudniowa noszona na garden-party, z wełnianej koronki, przybrana paskiem oraz kołnierzykiem i guzikami z białego aksamitu.

Powiedział ktoś o nich, że zmieniają kobiety w sylfidy, pląsające w tańcu klasycznym na tle muzyki Szopena....

Inni wywodzą ich powstanie z mussetowskich natchnień, zrodzonych z wspaniale w Paryży wystawionego niedawno „Świecznika". Jakkolwiek jednak wytłumaczymy sobie ten romantyczny charakter letniej sukni pięknej pani, przyznać trzeba, że inspiracje były szczęśliwe, skoro dały możność ukazania urody znów w innej oprawie, która tyle nasuwa odrazu sympatycznych porównań i refleksyj.

Te suknie zmieniają zasadniczo sylwetkę kobiecą. Mnogość delikatnego materjału stwarza ze spódniczki coś w rodzaju szerokiej krynoliny, zaakcentowanej jeszcze dobitniej przez minjaturowe wymiary staniczka i zwiększające się dekoltaże à la Winterhalter. Długość, nie sięgająca aż do ziemi, pozwala wykorzystać wszystkie efekty pięknych pantofelków, na zgrabnej, drobnej nóżce.

Co jest przytem bardzo charakterystyczne, to brak jakichkolwiek szarf i szali. Zastępuje je w całości okrywka wieczorowa z cieniutkich, przeźroczystych materjałów, często z ciemnej koronki, z pod której przezierają delikatnie pastelowe barwy sukienek, którym można by dać nazwy: „zachód słońca", „letni wieczór", „poświata księżyca" itp.

Okrywka wieczorowa — to najczęściej płaszczyk redingote, kapryśnie wykonany nie z wełny, lecz z cieniutkich materjałów i koronek. Jego krój przystosowany do figury, tem silniej kontrastuje z obfitością materjału sukienek w stylu walca. Ale silne kontrasty są teraz faworyzowane szczególnie w modzie letniej.

Obserwujemy je nietylko wieczorem. Sukienki popołudniowe również im hołdują, czy to przez śmiałe zestawienia kolorów jednego ensemblu, czy też przez kombinowanie ich w łączeniu materjałów gładkich i imprimée.

Imprimée i kwiaty — to dalsze charakterystyczne cechy mody letniej. Do wykorzystania wszelkich walorów imprimée przystąpiono śmielej, niż kiedykolwiek, co dało odrazu świetne wyniki. Gdy dawniej rezerwowało się kostjum i płaszcz wyłącznie tylko dla jednobarwnych materjałów, tego lata wszystko dosłownie może i powinno być utrzymane w deseniach. Zwiększa to możliwości kolorystyczne i kontrasty.

Oto sukienka jednobarwna a do niej płaszczyk imprimée. Lub też przy kostjumie z wzorzystego materjału bluzeczka z gładkiego barwnego materjału.

Desenie na materjałach imprimée wciągają wszystko w swoją orbitę. Od kwiatów, których jest najwięcej, poprzez wielobarwne pasy, śmiało roztaczające paletę wszystkich intensywnie podanych barw tęczy, do szkockiej kraty, barwniejszej i żywszej w odcieniach od jej rodzimego pierwowzoru.

W akcentowaniu kolorystyki mody letniej idzie się tak daleko, że podkreśla się ją jeszcze wyszywaniem i haftem kolorowym, oraz pailletami, które uwypuklają i powtarzają deseń materjału. Wszelkie tiule, noszone dotychczas jako jednobarwne, otrzymują skutkiem tego całkiem nowy wygląd, bo do nich zazwyczaj stosuje się te właśnie zasady koloryzowania jednolitego tła.

Tak różne zatem możliwości roztacza sezon przed letnią sukienką wieczorową. Poświęca jej moda więcej uwagi, niż kiedykolwiek, gdyż w Paryżu zapowiada się z powodu wystawy światowej ożywiony sezon letnich wieczorów, czy to w teatrach, czy w wszelkiego rodzaju lokalach rozrywkowych i po ogrodach, gdzie coraz więcej wzięcia zyskują garden-party, pozwalające na tle zieleni spędzać o wiele sympatyczniej godziny wieczorne, niżeli w zamkniętej przestrzeni najwspanialszych choćby sal.

Mewa.



Powyżej: Oto wiośniane tualety wieczorowe z koronki, przybranej kwiatami, oraz z matowej georgetty, ozdobionej ryszami i lśniącemi atłasowemi plisami.

Na prawo: Pełna fantastycznego wdzięku tualeta balowa z białego tiulu i falbanek z walansjenki. Uzupełnienie stanowi koronkowa parasolka, oraz pęk kwiatów przy gorsie.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA MAKARONOWA NA ZIMNO. Z jednego jaja i odpowiedniej ilości mąki zagniata się twarde ciasto, rozwałkowje i po przeschnięciu kraje w szerszy makaron, jak do masła. Na litr wody osolonej gotującej wrzuca sie makaron, gotuje przez trzy minuty i odstawia, nie odcedzając. 1/4 litra śmietany roztrzepuje się dokładnie z szczyptą pieprzu, wlewa do gorącego makaronu z wodą, miesza, kontroluje czy dość słony, ostudza i podaje. Zupę tę podać też można ciepłą.

SOS Z MŁODYCH BURACZKÓW DO SZTUKI MIĘSA. Wymyte młode buraczki, których liście (botwinkę) użyto na doskonały chłodnik, oskrobile się, wymywa szybko ponownie i gotuje w niedużej ilości wody. Miękkie, miele się lub przeciera i miesza z lekką zasmażką z łyżeczki masła i mąki, dodaje szklankę czerwonego wina, soli i cukru do smaku, rozprowadza rosołem i zagotowuje. O ileby sos był mało pikantny można go zaprawić sokiem cytrynowym.

SZPARAGI Z MŁODĄ MARCHEWKĄ. Drobne szparagi, nienadające sie do podawania z masłem, obiera się, kraje w kostkę, odrzucając drzewiaste twarde części i gotuje w słonej wozile z kostką cukru. Młodą marchewkę, oskrobaną i szybko opłókana, kraje się w kawałki, dusi z masłem, solą i cukrem, miesza następnie z odcedzonemi szparagami, zaprósza mąką, podgotowuje i wydaje z opiekankami z bułki.

OMLET Z RAKAMI. 10—12 małych raków oczyszcza się i gotuje w słonej wodzie aż nabiorą pięknej koralowej barwy. Z ugotowanych odkłada się mięso, czerwone łupki zaś tłucze się i miesza z 16 dkg masła, wkłada do rondelka i dusi przez kilka minut. Włósiane sitko ustawia się nad ryneczką z zimną wodą, przeciera uduszone skorupki masłem, które sie ścina na powierzchni wody, skąd się je zbiera i przechowuje do dalszego użytku. Z 1/4 litra mleka, 1/4 litra mąki, 6 żółtek, szczypty soli oraz dodanej wkońcu piany z 6 białek, (mleko z mąką i żółtkami ubija się naprzód przez kilka minut) sporządza się ciasto omletowe. Na patelce średniej wielkości rozpala się troszke masła rakowego, wlewa chochelką od śmietanki troche ciasta, a kiedy się ciasto zetnie posypuje się je drobno usiekanem mięsem raczem, nalewa znów chochelkę ciasta, po chwili odwraca omlet i smaży z drugiej strony. Wysmażone omlety układa się na półmisku, osobno zaś podaje się do nich gęsty sos rakowy, sporządzony z masła rakowego rozprowadzonego rosołem. Sos zaciąga się 2—3 żółtkami i zaprawia solą i sokiem cytrynowym.

KURCZAK Z PIECZARKAMI. Większego, oczyszczonego kurczaka dzieli się na części i dusi wraz z podróbkami i 10 drobnemi pieczarkami na maśle, podlewając od czasu do czasu białym rosołem. Pod koniec duszenia podaje się parę łyżek marmolady pomidorowej, zagotowuje i wydaje otoczone ryżem lub krokietkami z bułki. Bułczany knedel, tzw. serwetowy, krajany w plastry, nadaje się również do tej potrawy.

KREM AGRESTOWY. Pół litra agrestu obiera się z szypułek i okwiatu, wymywa czysto i rozgotowuje z troszką wody na papkę. Dwa cało jaja rozciera się z 4 łyżkami cukru na pianę i miesza z gorącym, rozgotowanym agrestem **szybko**, inaczej jaja się zetną, a krem nie będzie gładki. Krem należy ubijać aż do ostudzenia, następnie zamraża się go na lodzie i podaje z keksami lub kruchemi ciastkami.

DŻEM Z AGRESTU I RÓŻY. Litr obranego agrestu oraz kopę obranej róży (z kopy róż obrać można zwykle 5—6 dkg) odważa się i bierze tę samą ilość cukru, który się zagotowuje z szklanką wody. Agrest wraz z różą przemiela się na surowo w maszynce do miesa, rzuca na syrop cukrowy i gotuje, zdejmując szare piany, zbierające się na powierzchni. Kiedy dżem nabierze odpowiedniej gęstości, dodaje się pół łyżeczki kwasku cytrynowego, miesza, gotuje jeszcze 5 minut i zlewa gorący do słoja. Dżem ten ma piękny rubinowy kolor i prześliczny zapach.

TORT KRUCHY Z AGRESTEM. 12 dkg masła, 16 dkg mąki, 2 dkg zmielonych bez łupki migdałów, 5 dkg mączki cukrowej z zapachem cytrynowym, 3 twarde żółtka, przetarte przez sitko, oraz szczypte soli zagniata się szybko na ciasto i stawia na godzinę w chłodne miejsce, aby dobrze zastygło. Tortownicę wypłókaną zimną wodą wykłada się ciastem, tworząc dookoła na palec wysoki brzeg. Upieczony w piecyku na złoty kolor tort, nakłada się rozgotowanym z cukrem agrestem, daje na wierzch merengową pianę, ubitą z cukrem, posypuje migdałami i zapieka przez parę minut w piecyku.

PASTA ŚLEDZIOWA DO KANAPEK (tartynek). Przepuszcza się przez młynek od mięsa następujące dodatki: oczyszczony z ości i skórki śledź pocztowy, 15 dkg dobrego sera białego, sardynkę, białko dwóch twardych jaj i małą cebulkę. Osobna uciera się łyżkę (3 dkg) masła z jednem surowem i dwoma twardemi żółtkami oraz łyżką oliwy z pod sardynek. Pastę tę nakłada się na płatki chleba okrajone ze skórki i posypuje szczypiorkiem.

Sc. Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Obecnie, gdy każdy chętnie przesiaduje na świeżem powietrzu, pożądaną nowością będzie bujająca ogrodowa kanapka z daszkiem mogąca pomieścić kilka osób i dać możność miłego spędzenia czasu w ogrodzie lub na większym balkonie czy tarasie. Sporządzenie kanapki ogrodowej nie napotyka ani na techniczne trudności, ani na duży koszt.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 24	**Czerwiec** — 30 dni
NIEDZIELA **6** Norberta bisk.	Krupnik na grzybkach. Szparagi z młodą marchewką z krokietkami z bułki. Młoda gąska z mizerją i sałatą zieloną. Tort z agrestem. <u>Kolacja</u>: Zimne mięso z sosem majonezowo-musztardowym.
PONIEDZ. **7** Roberta	Rosół z kaszką krakowską. Sztuka mięsa z sosem z młodych buraczków. Wątróbka cielęca panierowana z ziemniaczkami i sałatą. Kompot z owoców sezonowych. <u>Kolacja</u>: Raki.
WTOREK **8** Medarda	Barszcz z botwinki buraczanej, zabielany, z twardem jajem. Szpinak z sadzonem jajem. Młoda kura z pieczarkami. Krem agrestowy. <u>Kolacja</u>: Jaja na śmietanie.
ŚRODA **9** Felicjana	Zupa makaronowa na zimno. Omlet z rakami. Zrazy z kaszą tatarczaną. Naleśniki z serem. <u>Kolacja</u>: Płatki z szynką zapiekane.
CZWARTEK **10** Małgorzaty	Rosół z groszkiem ptysiowym. Sztuka mięsa z zimnym sosem jajecznym. Gołąbki nadziewane z młodą marchewką. Legomina grysikowa na zimno. <u>Kolacja</u>: Kefir z kaszą tatarczaną.
PIĄTEK **11** Barnaby ap.	Krupnik na śmietanie lub zupa szczawiowa z grzankami. Szpinak w omletach. Karp w galarecie. Ryż z konfiturami i bitą śmietaną. <u>Kolacja</u>: Sardynki i awanturka /ser, ogórek, rzodkiewka itp./
SOBOTA **12** Onufrego	Zupa agrestowa z grzankami. Budyń szpinakowy lub grzybowy. Pieczeń cielęca od nerki z duszoną kalarepką i sałatą. Ciastka półfrancuskie z serem. <u>Kolacja</u>: Jaja na szynce, sałata surówka.

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z N-ru 21 i 22.

KWADRAT MAGICZNY.

Jedno z wielu możliwych rozwiązań wskazuje rys.

9	11	18	5	22
3	25	7	14	16
12	19	1	23	10
21	8	15	17	4
20	2	24	6	13

NOWI ZNAJOMI TOMCIA.

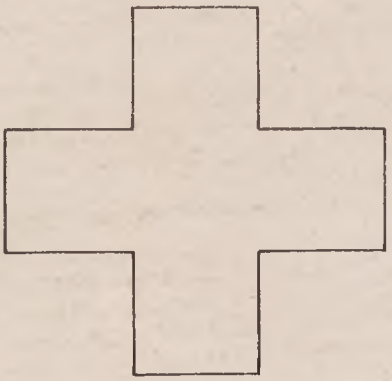
Tadzio ma siedem lat, Nyszka trzynaście.

KLOMB KWIATÓW.

Jeżeli x metrów — długość każdego boku, to

$$5x^2 = 12x$$
$$x = {}^{12}/_5$$

czyli, że długość boku wynosi 2,4 m.



LETNISKO.

Dorosłych było 4, a dzieci 7.

SKRZYNKA DO LISTÓW.

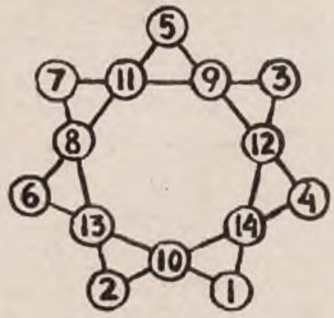
Nie — a w każdym razie wina leżała raczej po stronie pana Banknota, niż jego sekretarki. Kluczyk, jak i wszystkie listy dostał się do zamkniętej skrzynki.

SKASOWANY CZEK.

Czek miał numer 816425, co jest wielokrotnością 7225. Poszczególne kwadraty: 81, 64 i 25.

GWIAZDA SIEDMIORAMIENNA.

Rozwiązanie zadania wskazuje rysunek.



ZADANIE Z MECHANIKI.

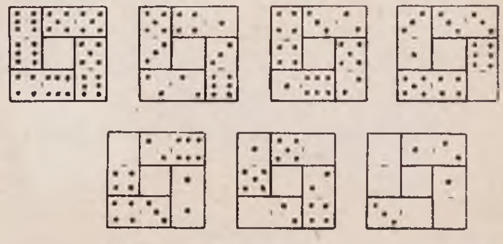
Koło A ma średnicę $26^2/_3$ cm.

DROGA KSIĄŻKA.

Pan Kanarek miał przy sobie 10 zł. Dziesięć 50-groszówek — 5 zł nadwyżki ceny w stosunku do posiadanych pieniędzy.

DOMINO.

Rozwiązanie wskazuje rysunek.



GASTRONOMJA.

— Panie ober, ile kosztuje porcja ryżu z rodzynkami?

— Złotówkę.

— A porcja ryżu bez rodzynek?

— Złoty pięćdziesiąt!

— Jakto? Bez rodzynków drożej, niż z rodzynkami?

— A czy szanowny pan ma pojęcie, jaka to praca wybrać z ryżu wszystkie rodzynki?

Dokończenie z strony 24.

Po kolei przechodzi w myślach wydarzenia ubiegłej nocy. Ożywia je postać Elzy o pięknych szafirowych oczach. Widzi ją jak mówi do niego swym miękkim głosem, jak rumieni się, gdy go zaprasza do siebie, jak krząta się przygotowując nakrycie, potem jak prosi go by położył się na kanapie i odpoczął. Uszy ma pełne jej cichego szeptu, który rozpłynął się we śnie. Serce Edwardowi bije mocno. Jakże cieszy się, że powie jej za chwilę, dzień dobry. Obiecuje sobie, że ją ucałuje z całych sił.

Przychodzi mu do głowy, że mógłby zabrać Elzę do siebie na farmę. Pojechałaby napewno. Pamięta jej roziskrzone oczy, gdy wczoraj, tu w tym pokoju wspominał o czemś podobnem. Załatwią prędko wszystkie formalności i razem wyjadą...

Do drzwi pokoju ktoś zastukał. Edward nie odpowiada. Boi się by Elza nie miała przez niego przykrości. Pukanie powtarza się. Ach, gdzież może być Elza. Gdy klamka u drzwi ugina się, Edward przymyka oczy i udaje że śpi. Słyszy kroki i po chwili ktoś dotyka jego ramienia.

— Proszę pana — rozlega się głos, już czwarta! Może pan wstanie...

Edward otwiera oczy. Przed nim stoi siwowłosa kobieta o zniszczonej twarzy. W ręku trzyma wiadro i szczotki do zamiatania podłogi.

— Przepraszam, że pana niepokoję — mówi kobieta. Wprawdzie panienka nie kazała pana budzić, ale któż mógł przypuszczać, że pan będzie tak długo spał. Wreszcie musiałam tu wejść. Trzeba posprzątać pokój, zmienić pościel. Dziś przyjeżdża nowy lokator...

Edward nie rozumie. Pyta o Elzę.

— Ho — ho, proszę pana, przecież panna Elza już dawno pojechała. Dziś mamy pierwszego, a fordanserki zmieniają się w lokalach właśnie z końcem miesiąca... No, ale ja wyjdę — a pan się tymczasem ubierze...

Mówiąc to staruszka stawia wiadro koło drzwi i znika cicho z pokoju. Edward przez chwilę jest zupełnie oszołomiony, wydaje mu się, że coś się w nim załamało, nie może zebrać myśli. Wyskakuje na podłogę, zdejmuje marynarkę, myje się szybko. Po chwili jest już gotów. Wychodzi do przedpokoju i wpada wprost na siwowłosą babinę.

— Proszę pani!... Więc panna Elza wyjechała... i nie pożegnała się nawet...

— Pan tak twardo spał, że nie można go było obudzić. Panna Elza mówiła, że pan odbył daleką podróż i że jest pan zmęczony. Kazała pana pięknie pozdrowić...

— Proszę mi powiedzieć, dokąd wyjechała panna Elza.

— W świat, mój panie, w świat! Ale adresu mi nie zostawiła...

Edward otwarł drzwi i wyszedł na schody. Powoli schodzi w dół. Idzie przed siebie w pustkę, w której nie dostrzega żadnego światła.

To warto poznać..

NA SCENIE.

Teatr im. Słowackiego, wystawiając jeden z najmocniejszych, najświetniejszych dramatów Wyspiańskiego — **„Bolesława Śmiałego“** — sięgnął do swej wspaniałej, długoletniej tradycji. Nie jest to tylko grzeczny komplement: bogata tradycja tego teatru przekazuje nam wspomnienia o chlubnym okresie przedwojennym, kiedy to scena krakowska promieniowała na całą Polskę dziełami genjalnego wizjonera i dramaturga. Premjera „Bolesława Śmiałego“ odbyła się 7 maja 1903 r. Z tego czasu zachowały się szkice poety, dotyczące kostjumów i dekoracji.

Obecnie **dyr. Frycz** skorzystał z projektów poety i stworzył widowisko, które może stanowić wzór tego, co nazywamy „teatrem Wyspiańskiego“.

Rolę tytułową powierzono p. **Wacławowi Nowakowskiemu**, który należy do klasy artystów-tragików, umiejących wyrażać konlikty sumienia. Przez trzy akty cały ciężar dialogu spoczywa na Bolesławie! P. Nowakowski sprostał temu zadaniu. Jego dostojnym, pełnym powagi i godności przeciwnikiem był p. **Tadeusz Burnatowicz** w roli Biskupa.

W utworze tego typu, co „Bolesław Śmiały“ wielkie znaczenie posiadają zdolności recytatorskie wykonawców. Otóż w tej dziedzinie wyróżnił się w prologu p. **Tad. Białkowski**, mówiący „słowa poety“; a w akcie II p. **Władysław Woźnik**, jako Rapsod; dzięki czemu jego starcie z Królem miało porywającą wymowę. Szczególne zdolności „krasomówcze“ pokazali w drobniejszych epizodach: pp. **M. Węgrzyn, J. Kaliszewski** (Rycerze Bolesławowi), **J. Bobrowski** (Wieść). Dużo wdzięku i delikatności miała Królowa-Żona w interpretacji p. **Romany Pawłowskiej. P. K. Fabisiak** był przewrotnym, zaciętym bratem królewskim, **Włodzisławem**, p. **St. Turski** poczciwym i wiernym Strzemionem, p. **Z. Modzelewski** zmiennym, porywczym Sieciechem.

Na oddzielne wyróżnienie zasłużyła p. **Teresa Suchecka**, jako Krasawica. Okazała ona w całym blasku swój talent dramatyczny, przyczem wiersz Wyspiańskiego brzmiał w jej ustach wyraziście i przekonywująco.

W warszawskim **Teatrze Nowym** ujrzeliśmy sztukę Armanda Salacrou p. t. **„Wolna kobieta“**.

W związku z tą premjerą jeden z krytyków, W. Natanson („Czas“) temi słowy charakteryzuje twórczość francuskiego pisarza: „Sztuki Salacrou stawiają pewne zagadnienia, ale nie dają wcale próby ich rozwiązania... Bohaterów tych utworów przyrównywano do tancerzy na linie, wykonywujących najrozmaitsze łamańce psychologiczne.“

„Wolną kobietą“ jest Łucja Blondel, która znalazłszy się w ziemiańskiej rodzinie francuskiej, wśród konserwatywnych form i poglądów wyłamuje się z tych ram i ucieka z bratem narzeczonego, Janem. Łucja kocha go, ale kiedy Jan proponuje utrwalenie ich związku w formie małżeństwa, — ona uważa to za poświęcenie i niebezpieczną próbę miłości, tak że... woli rozstać się z ukochanym. Ale na tem nie koniec: Łucja wraca po tygodniu do Jana, niestety wówczas on nie może jej darować tygodnia rozłąki i zerwania.

Główne role przypadły p. **Karolinie Lubieńskiej** (Łucja), **T. Wesołowskiemu** (Jan) i **L. Łuszczewskiemu**. W roli ciotki wystąpiła p. **Stanisława Wysocka**, wydobywając ze swej roli akcenty wysokiego tragizmu. **J. J.**

NOWE KSIĄŻKI.

Ukazały się trzy nowe tomy dzieła Marcelego Prousta pt. **„W poszukiwaniu straconego czasu“** w przekładzie Boya-Żeleńskiego. Pierwszy cykl nosił tytuł: „W stronę Swanna“, a cykl świeżo wydany: „W cieniu zakwitających dziewczyn“. — Proust uprawia rozpamiętywanie przeszłości, rozgrzebywanie dawnych wzruszeń, najdrobniejszych załamań uczuciowych. Dla francuskiego pisarza wszystko, co zrasta się z jego wspomnieniami, z przeżyciami młodości jest ważne i godne odtworzenia w powieści. Mogą to być zarówno osoby lub... meble, kobieta lub krajobraz. Jest to niewątpliwie bardzo osobisty, kapryśny i dowolny stosunek do twórczości literackiej. Proust jest wielkim indywidualistą, ale trzeba przyznać, że umie nadać swoim przeżyciom wagę i urok swoisty.

W świeżo wydanym cyklu opowiada autor o znajomości z kilku młodemi, ledwo rozkwitłemi dziewczętami, wśród których Albertynę obdarza szczególnym sentymentem, a przedtem jeszcze mówi o rozstaniu z przyjaciółką lat dziecinnych, Gilbertą. Proust opisuje poszczególne fazy tego uczucia, aż do jego wygaśnięcia. Oto fragment, który najlepiej scharakteryzuje subtelność i koronkowość rysunku, a zarazem skomplikowane, mocno rozbudowane okresy stylu Prousta: „Jednakże w chwili tego wyjazdu i przez pierwszy czas pobytu, obojętność moja (w stosunku do Gilberty) była dopiero okresową. Życie nasze jest tak mało chronologiczne, tyle wprowadza anachronizmów w porządek dni! Często żyłem w epoce dawniejszej, niż wczoraj lub przedwczoraj, kiedym kochał Gilbertę. Wówczas, nie widzieć jej już, stawało mi się nagle bolesne, tak jak byłoby bolesne w owej dobie.“ — Słowem autor odczuwał „nawroty miłości“ do Gilberty. Nieraz fakty zewnętrzne, otoczenie — sprzyja prędszemu zatarciu się w pamięci jakiegoś przeżycia. Proust potrafi dziesiątki stronic poświęcić nieuchwytnym, zaledwie uświadomionym, przejściowym stanom świadomości.

Zkolei parę słów o debjucie powieściowym p. Aliny Segeń pt. **„Anna“**. Jest to historja miłości Anny (Polki) do Roberta (Wiedeńczyka). Akcja rozgrywa się w Polsce. Robert jest inżynierem i pracuje w fabryce. Jednakowoż nie umie — jak się to mówi — zagrzać miejsca; po konflikcie z zarządem zostaje uznany za „uciążliwego cudzoziemca“. Opuszcza Polskę. Ginie po nim ślad. Anna chce popełnić samobójstwo; niczem Anna Karenin rzuca się pod pociąg, lecz zostaje ocalona, okupiwszy swój rozpaczliwy krok kalectwem. Kiedy już wróciła do zdrowia, w dalszym ciagu widzi pustkę przed sobą. Kończy z sobą, osuwając się w głębinę wiejskiego stawu.

Taki jest szkielet fabuły. Autorka pisze poprawnie, choć bez specjalnego polotu, skupiając najwięcej światła dookoła postaci tytułowej; inne postacie są pobieżniej zarysowane.

Ten „pamiętnik miłości“ wtajemnicza nas w przeżycia Anny, nie odsłania jednak jakichś nowych aspektów tego uczucia. Jest pewnego rodzaju kroniką tragicznie zakończonego romansu z cudzoziemcem. **J. J.**

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 6 czerwca.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Regjonalna transmisja z Wrześni: nabożeństwo i reportaż p. t. „Lud ziemi wrzesińskiej“.
11.00 „Tańce z operetek“ (płyty).
12.03 „Poranek w muzyce“ (z Poznania).
13.10 Koncert rozrywkowy (z Wilna).
15.00 Audycja dla wsi.
16.00 Muzyka ludowa.
16.55 „Chopin u Radziwiłła“ — słuchowisko.
17.30 Międzynarodowe zawody hippiczne: Nagroda Polski „Puhar Narodów“
18.00 „Pół czarnej przy mikrofonie“ (ze Lwowa).
20.00 Melodje Offenbacha (płyty).
21.00 „Kukułka dla samobójców“ (z Wilna).
21.30 Transmisja z Krakowa fragmentu piłkarskiego.
22.00 Wolfgang Amadeusz Mozart — wyjątki z oper.

Poniedziałek, 7 czerwca.

11.30 Audycja dla szkół.
12.25 „Na nutę wojskową“ (płyty).
16.00 „Mój Bobo“ (przygody małpki) pogadanka.
16.15 Zespół mandolinistów „Kaskada“ (z Wilna).
16.45 „500 lat polskiej gościnności“, feljeton.
17.00 Pieśni studenckie — audycja chóralna.
17.20 Antoni Arenski: Trio d-moll.
17.50 „Mikołajek nadmorski“ — pogadanka.
18.15 Revellersi w repertuarze popularnym (płyty).
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 Transmisja z otwarcia Zjazdu Międzynar. Komitetu Olimp.
20.00 Koncert muzyki lekkiej.
22.10 Koncert solistów.

Wtorek, 8 czerwca.

11.30 Audycja dla szkół.
12.25 Koncert Orkiestry Dętej.
16.25 Witold Lutosławski: Sonata b-moll w wyk. kompozytora.
16.50 „Dwa miljony metrów“ — pogadanka.
18.15 Utwory Józefa Becce (płyty).
19.00 „Koncert życzeń“ — skecz
19.15 Poleskie pieśni regjonalne.
19.35 „Jak Centralne Archiwum Fonograficzne stara się ratować pieśń ludową“.
20.00 „Z oper Stanisława Moniuszki“.
21.40 „Jazda z Ziurdanką“ — humoreska.
21.55 Muzyka taneczna (płyty).

Środa, 9 czerwca.

11.30 Audycja dla szkół.
16.00 „Gawęda o rodzinie poetów“.
12.25 Koncert orkiestry wileńskiej.
16.15 Koncert rozrywkowy.
16.45 „Rokitna“ — odczyt.
17.00 Koncert solistów.
17.50 „Nowoczesna książka“ — pogadanka.
18.15 Lekkie piosenki włoskie (płyty).
19.00 „Płyty dla znawców“.
20.00 Koncert muzyki lekkiej.
21.00 Koncert chopinowski.
22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, 10 czerwca.

11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych.
12.15 „Wypadek przy pracy“ — feljeton.
12.25 Milica Korpus i Charles Kullmann śpiewają (płyty).
16.00 Podróże międzyplanetarne — pogadanka.
16.15 „Przyroda w pieśni i w muzyce“.
17.00 Zespół salonowy Stefana Rachonia.
18.15 Koncert zespołu „Light Opera Company“ (płyty).
19.00 „Samarytanin z pod Solferino“, słuchowisko.
20.00 Koncert symfoniczny.
22.00 „Kalejdoskop“ — audycja muzyczna.

Piątek, 11 czerwca.

11.30 Audycja dla szkół.
12.25 Koncert w wyk. Orkiestry Policji Państw.
16.15 Jan Brahms: Pieśni cygańskie.
16.45 „Nafta, nafta“... — reportaż.
17.00 Potpouri operetkowe.
17.50 „Nasze drzewa: Limba“ — pogadanka.
18.15 Muzyka lekka (płyty).
19.00 Koncert solistów.
20.00 Koncert rozrywkowy.
21.45 „Śląsk w poezji współczesnej“, kwadrans poetycki.
22.00 Ludwik van Beethoven (nowe nagrania płytowe).

Sobota, 12 czerwca.

6.15 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.25 Łódzka orkiestra salonowa.
16.00 „I my też urządzamy koncert“, audycja słowno-muzyczna.
16.30 Ballady i legendy — w wyk. ork. A. Hermana.
17.20 Recital śpiewaczy Gabrieli Philip de Rocha.
17.50 „Osobliwości ziemi zapomnianej przez turystów“.
18.15 Chór Dana i orkiestra Eugen Wolffa (płyty).
19.00 „Kawalerowi pięknej Idalki“ — wesoła audycja.
20.00 Audycja dla Polaków zagranicą.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.